



(345)
Rok XXIX
WRZESIEŃ 2023
PR 11353
ISSN 1897-8789
CENA 50 gr
www.gpr24.pl
redakcja@gpr24.pl

GŁOS PRUSZKOWA



MIEJSKI I POWIATOWY MIESIĘCZNIK
SPOŁECZNO, KULTURALNO,
INFORMACYJNY - TYTUŁ ISTNIEJE
OD 1919 ROKU

Zasięg: Powiat Pruszkowski, Podkowa Leśna, Janki, Ożarów Mazowiecki, Warszawa Ursus

Uroczyste otwarcie ulicy Europejskiej

W piątek 1 września br. nastąpiło uroczyste otwarcie ul. Europejskiej w Pruszkowie - Żbikowie. Wybudowana ulica ciągnie się od ul. Promyka do skrzyżowania z Poznańską oraz od ul. 3 Maja do ulic Mostowej i Elektrycznej.

czytaj S. 4



Foto - Urząd Miasta Pruszkowa

KSIEGARNIA ANIA
NA RYNKU OD 1990r.

Zapraszamy!
Pruszków, Kraszewskiego 39



Czytaj s. 20



Szukaj s. 4

PULS

SPECJALISTA!
Prof. dr hab. n. med.
Grzegorz Madycki

Czwartek: od godz. 14.20
Zadzwoń : +48 22 668 48 53

**CHIRURG
NACZYNIOWY**

Sprzedam działkę
w Komorowie
przy Starej Drodze 7
o pow. 1688 m kw.
Cena do negocjacji

Tel.: +48 694 545 840

121 MUZEUM
DULAG 121

DZIEŃ PAMIĘCI WIEŹNIÓW OBOZU DULAG 121
I NIOSĄCYCH IM POMOC

Szukaj s. 6

REKLAMA



Zdjęcia złe, dobre i takie sobie



Włodzimierz Szpak - reżyser dokumentalista, felietonista

Nigdzie na razie nie wyjeżdżam. Lubię spędzać czas urlopów u siebie w domu. Na ulicach, w sklepach i środkach komunikacji publicznej robi się luźniej, przestronniej, ludzie już tak nie pędzą, nie gnają tak... Tłum pasażerów, teraz rzadszy, po wyjściu z kolejki WKD na Dworcu Centralnym zachowuje się jednak inaczej niż dwa lub trzy miesiące wcześniej. Nikt nie wyrwa do przodu, nie biegnie, łatwiej też kogoś zagadnąć, zamienić dwa albo trzy zdania...

Siedząc w domu, sięgnąłem do zdjęć, których posiadam znaczną ilość na różnych nośnikach elektronicznych (dyskach, pendrive'ach, kartach pamięci) i negatywach celuloidowych... Są to zdjęcia wykonane w różnych krajach europejskich oraz u nas - najwięcej w Warszawie (prowadziłem przez lata zajęcia z fotografii i filmu w domu kultury na Starym Mieście). I tak przeglądając je na ekranie komputera, doszedłem do wniosku, że wiele z nich

można by „ulepszyć”. Zdjęcie wykonane gdzieś na ulicy w Madrycie, Porto lub Rzymie, często w pośpiechu, czasem z pewną dozą nonszalancji, można komputerowo w prosty sposób poprawić. Nie chodzi tu o jakieś daleko idące ingerencje w kolorystykę zdjęcia, nadmierne podkreślanie kontrastu, przesadne uwyrażnienie (np. robienie z normalnych chmur - groźnych chmur burzowych, co często obserwuję u różnych domorosłych fotografów), ale o rzeczy podstawowe, najważniejsze. Trzeba sobie odpowiedzieć na pytanie, co jest treścią zdjęcia i czy sposób przekazu (forma) jest optymalny, najwłaściwszy dla wyrażenia tej treści?... Jeśli zdjęcie jest coś warte, drobne zmiany mogą znacząco podnieść jego wartość. Czasem wystarczy je tylko trochę podkadrować, pozbyć się kilku niepotrzebnych elementów, przybliżyć coś, mocniej wyeksponować, podnieść nieco kontrast, uwyrażnić, zdjąć być może trochę koloru, przyciemnić albo rozjaśnić... i będzie lepiej, a nawet dobrze lub bardzo dobrze. Trzeba próbować... naprawę warto! Takie sobie zdjęcie, nie zalecające się na pierwszy rzut oka niczym szczególnym, raptem, po poprawkach, zyskiwało siłę, blask i większą czytelność. Nie zawsze zabiegi tego rodzaju mają sens, ze złej fotografii nic się nie da zrobić. Kilka lat temu w Madrycie sfotografowałem przed Biblioteką Narodową wspinały posąg Św. Izzydora z Sewilli, patrona Internetu. Sięgam do Wikipedii, żeby dowiedzieć się czegoś o tym świętym. Do tekstu dołączone jest zdjęcie posągu. Złe zdjęcie, które zupełnie nie oddaje wielkości dzieła Jose Alcoverro, XIX-wiecznego rzeźbiarza hiszpańskiego. Gdybym nie widział statui na własne oczy i gdybym sam jej nie sfotografował, nie domyśliłbym się na jego podstawie, z czym tak naprawdę mam do czynienia. Posąg Izzydora sprzed Biblioteki Narodowej w Madrycie zrobił na mnie ogromne wrażenie, zresztą nie on jeden, tej klasy rzeźb jest tam więcej. Zdjęcie posągu zamieszczone w polskiej Wikipedii nie robi żadnego wrażenia... To taka dosyć typowa fotografia dokumentacyjna bez odrobiny wyrazu, bezmyślnie, źle odwzorowująca obiekt. A przecież zdjęcie może nas urzec, zachwycić, może zachęcić do czegoś, zainspirować, jak to kościół w Berezowcu (zmięcionego z powierzchni ziemi przez „bolszewię”), od którego zaczęła się moja przygoda z filmem o wileńskiej odmianie baroku.



Św. Izydora, foto Wikipedia

SAN ISIDORO.

Okno na Planty



Fot. Henryk, Tomasz Kaiser

Andrzej Sikorowski - polski piosenkarz, kompozytor, gitarzysta, autor tekstów. Foto - archiwum Vis a vis Od 1977 w krakowskiej grupie Pod Budą.

ze tego nie pochwalam. Wiem jedno, dzisiaj nie podjąłbym wyzwania któremu na imię studia wyższe. Nie ze względu na wiek. Przecież na pięte piętro w Żaku jeszcze bym się wspiął.

Wojenka

Chyba raz jeden we wczesnej młodości wiedziony panującą światową modą by „make love not war” popełniłem protest song o żołnierzach ginących w bezsensownej wojnie. Potem żywiłem głęboką pogardę dla rodzimych prób tego typu, wychodząc z założenia, że śpiewanie o wojnie w kraju, który żadnej zbrojnej batalii nie prowadzi jest bez sensu. Aż po wielu latach napisałem „List z wojenki” wykonany obecnie przez moją córkę, a ta wygłasza następujące słowa:

Więc pamiętajcie ministrowie dla których ważny tylko awans że jeśli za was ginie człowiek to już przegrana każda sprawa

Mnie wasza bitwa nie obchodzi ani naszywki na mundurze ja chcę się kochać dzieci rodzić i tańczyć i hodować róże

Akademik

Studia zacząłem w 1967 roku. Cóż to była za radość i satysfakcja wejść do elitarnego towarzystwa, mieć tę czarną legitymację zaświadczącą o przynależności do społeczności Uniwersytetu Jagiellońskiego. O aspekcie materialnym nie wspominałem, wszak za przejazd tramwajem płaciłem 20 groszy, miałem ulgi w studenckich klubach. Po marcu 1968 roku obnosiłem z dumą białą czapkę z niebieskim otokiem chociaż polityczne podłoże zamieszek było dla mnie nie do końca jasne.

Wreszcie akademik. Urodzony w Krakowie, mieszkający w rodzinnych pieleszach, zacząłem dzielić czas między wspomniany matecznik, a dom studencki, który na pięć lat stał się drugim domem. Na pytanie „dokąd idziesz” odpowiadałem „do akademika” i to załatwiała sprawę.

W akademiku bowiem przygotowywałem się do egzaminów, piłem algierskie wina Gelala i Fatima, paliłem Sporty sprzedawane w dziesiątkach, tańczyłem na dyskotekach, oglądałem niezliczone programy artystyczne jakich w lokalnych klubach nie brakowało. Pragnę dodać, że ten akademik miał jedną jeszcze kardynalną zaletę - był żeński. To były czasy akademikowych legend, wieloletnich waletów czyli ludzi mieszkających kątem, do uzyskania dyplomu, nikt się nie spieszył, urlop dziekański przedłużał czas rozkosznej beztroski. A powroty ze świąt wszelkich, wałówka przywożona z domu zastępująca na chwilę chleb z masłem i musztardą (do dziś kocham), a przemycanie panów przez pilnie strzeżoną portiernię. Dzisiejszy wyścig po tytuł, etat, społeczność akademicką zdeintegrował całkowicie. Oni widzą w kolegach rywali a nie współbiedniaków. Nie oceniam, nie twierdzę,

Zapowiadając piosenkę wyrażam głębokie przekonanie, że gdyby ministrami wszystkich rządów świata były kobiety, ten wyglądałby znacznie lepiej i był znacznie mądrzej zarządzany. I chyląc głowę przed kobiecym zdrowym rozsądkiem, pragmatyzmem, delikatnością w dyplomacji nie mogę się pogodzić z bezsensowną językową rewolucją zafundowaną w imię fałszywie rozumianego równouprawnienia. Ostatnio usłyszałem, że gdzieś złapano „szpiegkę” - co za kuriozum!!! Facet muzyk - okej, ale niewiasta muzyczka brzmi wręcz lekceważąco i wcale nie nobilituje. Takie przykłady można mnożyć i wierzyć nie przynioszą chwały ich nosicielkom. Nagminne „Polki i Polacy” odmieniane przez wszystkie przypadki irytuje boleśnie, bo przecież gdy mówimy Francuzi, Anglicy, Amerykanie mamy na myśli ogół mieszkańców tych krajów i chyba nie obrażamy tamtejszych dam. Oddajmy im należny szacunek bez głupich ukłonów lingwistycznych. A dlaczego słowo wojna jest rodzaju żeńskiego? - oto pytanie.

Za zgodą Andrzeja Sikorowskiego oraz Vis à vis



Św. Izydora, foto Włodzimierz Szpak



L'ÉTÉ DE DIOR CZYLI KOCHAJMY STARE MODY – DOPÓKI JESZCZE ONE ISTNIEJĄ I ZIEMIA NADAL KRĘCI SIĘ!!!



Jerzy Antkowiak - projektant mody, felietonista
Foto - Rafał Dziedzic. Finisaż Jerzego Antkowiaka
w Wolsztynie

DIOR to naturalnie WYSOKA PÓŁKA, o czym niska półka nic nieczytającej młodzieży (kusi mnie by o niskiej pisać nisko: „młodzieży”), nie wie no, bo skoro mówią jak mówią... Przepraszam moich czytelników, których dzieci, wnuki, lub ktokolwiek bliski jest czytający a smartfon mieszka w kieszeni.

L'été de Dior



Nouveau romantisme chez Dior, illustré par ce tailleur blanc de dandy cravaté de soie pékinée.

(Photo Colacicco/Le Figaro.)

(Le Journal des collections, par Janie SAMET, page 13)

To tyle połajanek od marudera, teras DIOR i STARE KORONKI, cokolwiek to znaczy i jakie macie Państwo skojarzenia, a z ARSZENIKIEM to była, arcy groteska CZARNEGO HUMORU. Grzebiąc w moich starych kartonach i pudłach i starych gazetach typu paryskie LE FIGARO znajduję potwierdzenie mojej spokojnie pod chmurką i z półuśmiechem wyczarowanej tezy, że stare mody są tak pięknie modne, a „nowe modne”, czy „NOWE MODNE”, czy „SUPER HIPER MODNISSIMO” musi ciągle powstawać, bo na tym P E R P E T U M M O B I L E opiera się istnienie tej potęgi, jaką jest M O D A - kochana drapieżna wampirzyca i NAJŁAGODNIEJSZA Z MUŻ!!! Tak ja postrzegam ten mój romans nieoczekiwany i nieplanowany z nie zaistniałego wymarzonego DZIENNIKARSTWA, PRZEZ CERAMIKĘ i MALARSTWO i tu już, blisko, lecz gdzie tam jakiś romansik, wlałem z butami w tafty, jedwabie, welury i koronki i sam sobie podałem ten MODOWY ARSZENIK. VERTIGO, czyli HITCHCOCK-a „ZAWRÓT GŁOWY” TO BYŁO MAŁE PIWO.

W Czerwcu odebrałem DYPLÓM PWSSP we WROCŁAWIU, a w Lipcu w Warszawie na Wystawie Wzornictwa Przemysłowego obejrzałem pierwszy w życiu POKAZ MODY, pokaz MODY POOLSKIEJ i poległem: TYLKO MADA!!! To był LIPIEC 1960 roku, kołatałem do KRÓLESTWA MODY pół roku i 16 Lutego w IMIENINY PANI DANY przyjęto mnie na pół etatu jako asystenta Pani Jadwigi Grabowskiej DYREKTORKI ARTYSTYCZNEJ i ZAŁOŻYCIELKI MODY POLSKIEJ. Znalazłem się w KRÓLESTWIE MODY z „tytułem NASZ PLASTUŚ”, w PARYŻU byłem „WNUCZEK”, a kiedy coś nabroiliśmy to było: „NIEZNOŚNY ten mały ceramik a Komorowa”.

Zupełnie nie wiem, dlaczego tak się ten wstęp rozsypał, bo moim zamiarem było wnikliwe opisanie zdjęcia modelki DIORA z kolekcji sprzed lat zapewne nastu, i ono skojarzyło się ze słynnymi zdjęciami WIELKIEGO MISTRZA FOTO RICHARDA AVENDONA, chociaż na pewno nie jest to on, ale jest tak urokliwe w tym stylu „wiecznie niewychodzącego z mody kostiumu”. MADAME JANIE SAMET, w tamtych latach PAPIEŻYCA PARYSKICH DZIENNIKAREK - też wymagająca, co najmniej mojego felietonu dla PAN piszących o modzie, o MODZIE, dla MODY to dziennikarsko - modowy wzorzec MIĘTRA w SEVRES pod PARYŻEM. Nie piszę tego złośliwie, bo z bywalców na pokazach paryskiej HAUTE COUTURE zostało zaledwie kilku, a anegdota tużyny.

DRODZY CZYTELNICY – JESZCIE NIE WIECZÓR, ale lato 2023 gorące i dyszące, bywało duszące, ale dostarczyło jeszcze innych atrakcji. WOLSZTYN był przyjacielski, piękny i serdeczny, jak zawsze wytwórny i miałem mnóstwo miłych rozmów z mieszkańcami.

WYSTAWĘ u DR KOCHA zamkną FINISAŻ (nowe i kulawe słowo, brzmiące dość dziwnie), były pokazy MODY POLSKIEJ, MODY WŁOSKIEJ, gościnie z BIAŁEGOSTOKU, kto chciał być to był, kto nie chciał to nie był – no po prostu DEMOKRACJA PEŁNĄ GĘBĄ.

W TYM MIEJSCU DZIĘKUJĘ KASI JĘCZMIENCE - SZEFUJĄCEJ z POMYSŁEM i PAZUREM „vide rysowany KALENDARZ 2024” PROMOCJI MIASTA, a także: EWELINA STANEK, REX MOD-ELKI, w MODZIE POLSKIEJ był to „pazurek” KASI BUTOWT, dziękuję SPOŁECZNIKOM od „OGRODÓW”, PANIOM od BUTIKÓW, „POLSKI LEN” chodził po CZERWONYM DYWANIE, czyli ogrodowym WYBIEGU w MUZEUM DR ROBERTA KOCHA.

PRZYJAZNE moim wolsztyńskim potyczkom z MODĄ i o MODĘ to BISTRO EUROPA i CAFE de PARIS, eleganckie SECOND HENDY z „KRÓLOWAMI MÓD NOSZONYCH”, DRAPERIE PIĘKNYCH TKANIN u PAŃSTWA OLSZEWSKICH przy RYNKU, a po diagonalu „paryska nutka” ULICA KRÓTKA z WYTWORNYM BUTIKIEM i równie wytwornymi WALIZAMI – w czymś takim modopolska moda wędruje ze mną „STARYM WĘDROWCEM” po POLSCE...

TO WSZYSTKO wyzwoliło te wspomnienia starego „Wertera od mody”...

Pozdrawiam wszystkich uśmiechniętych WOLSZTYNIAKÓW od moich pruszkowskich czytelników, czyli od nieco zaawansowanej w latach starszej młodzieży wśród PRUSZKOWIAKÓW.

Jerzy Antkowiak



P.S. 1
Już widzę oczyma duszy ZAPOZNAWCZY WIECZOREK TANE CZNY, CZYLI mówiąc zupełnie poważnie SZALONY JAZD INTEGRACYJNY POGODNYCH WESOŁYCH i ODWAŻNYCH REPREZENTANTÓW NASZYCH UROCZYCH MIASTECZEK...

P.S. 2
Dziękuję (zapomniałem) w litanii podziękowań modelkom w ekipie wielopokoleniowej, zgodnie z moją fascynacją modami, które były.

Panie przywróciły czerwonemu dywanowi na wybiegu blask dawnego stylu pokazywania mody, Chic Parisien wrócił do Wolsztyna...

J.A.





W piątek 1 września br. nastąpiło uroczyste otwarcie ul. Europejskiej. Wybudowana ulica ciągnie się od ul. Promyka do skrzyżowania z Poznańską oraz od ul. 3 Maja do ulic Mostowej i Elektrycznej. Pierwotnie ul. Europejska miała kończyć się przy Elektrycznej, jednak podjęto decyzję o przedłużeniu jej do ul. 3 Maja.

Uroczyste otwarcie ulicy Europejskiej

Investycja objęła również wykonanie kanalizacji sanitarnej i deszczowej, dużego zbiornika retencyjnego, chodnika, ciągu pieszo-rowerowego oraz mostku przez rzekę Utratę.

Wartość inwestycji wyniosła ponad 17,5 mln zł, a na jej realizację uzyskano dofinansowanie z Rządowego Funduszu Rozwoju Dróg w wysokości blisko 5,5 mln zł.

„Śmiało mogę powiedzieć, że ta inwestycja, obok budowy łącznika ul. Dolnej z Piastowską przy pruszkowskich Malichach czy całkowitą przebudową ul. Działkowej, wpisuje się w ideę tej kadencji – transport, bezpieczeństwo i komfort mieszkańców stoją na pierwszym miejscu” – powiedział prezydent Paweł Makuch.

Zastępca prezydenta Pruszkowa Konrad Sipiera zapowiedział kontynuację projektów komunikacyjnych na tym obszarze, które mają stworzyć poważny układ komunikacyjny, spięty rondem na wysokości ul. Żbikowskiej.

W uroczystym otwarciu ulicy Europejskiej obok Prezydenta Miasta Pruszkowa i jego zastępcy udział wzięli poseł Zdzisław Sipiera, przedstawiciele Rady Miasta Pruszkowa, naczelnicy i kierownicy wydziałów Urzędu Miasta Pruszkowa, ks. proboszcz Bogdan Przeglaliński oraz mieszkańcy.





Pruszków pożegnał lato

2 września w Parku Żwirowisko odbyła się cykliczna impreza ŻEGNAJ LATO.

– Dziękuję Państwu za wspólną zabawę i spotkanie. To było piękne wydarzenie – mówi Prezydent Miasta Pruszkowa Paweł Makuch.

Przez cały dzień na mieszkańców Pruszkowa w Parku Żwirowisko czekało mnóstwo atrakcji. Duża frekwencja była najlepszym potwierdzeniem świetnej zabawy. Park Żwirowisko wypełniony był dziećmi, dorosłymi i seniora-

mi. Wszyscy wspólnie bawiliśmy się podczas imprezy ŻEGNAJ LATO, którą w sposób symboliczny pożegnaliśmy cykl imprez letnich. Więcej o tym, co działo się w lato przeczytasz tu: Lato było wypełnione atrakcjami!

Przy pięknej pogodzie zgromadzeni w Parku Żwirowisko mogli korzystać z licznych atrakcji. Dużym zainteresowaniem najmłodszych cieszył się dmuchany plac zabaw i zabawy z animatorami. W parku widoczne były zabawki z tektury, które można było wykonać wspólnie z firmą Smurfit Kappa. Podczas ŻEGNAJ LATO nie brakowało dobrej energii i uśmiechu. Zainteresowaniem cieszyły się zabawy sportowe jak przeciąganie liny, skoki w workach.

Mieszkańcy chętnie odwiedzali stoiska miejskich instytucji – Miejskie-

go Ośrodka Kultury „Kamyk”, czy Muzeum Starożytnego Hutnictwa Mazowieckiego. Dziękujemy wszystkim, którzy odwiedzili stoisko Urzędu Miasta Pruszkowa i wzięli udział w quizie z nagrodami. Gratulujemy wszystkim!

Podczas ŻEGNAJ LATO uhonorowaliśmy również mieszkańców, którzy zebrali wszystkie pieczętki na karcie lojalnościowej. Gratulujemy zwycięzcom! A za ufundowane vouchery dziękujemy Miejskiej Krytej Pływalni KAPRY, klubowi fitness BE HAPPY i restauracji Oddeca.

O godzinie 16:00 rozpoczęła się część koncertowa. Na początek na scenie zaprezentował się zespół „Prosto z piwnicy”. Pruszkowscy muzycy rozgrzali zgromadzoną publiczność, a potem swoje wokalne umie-

jętności zaprezentowała Magdalena „MEG” Krzemień. O dobry muzyczny klimat zadbał TRIBBS. Ogromnym zainteresowaniem cieszyły się koncert Dawida Kwiatkowskiego, który dostarczył publiczności wielu emocji. Część koncertową zwieńczył występ Pokahontaz. Mieszkańcy opuszczali Park Żwirowisko zadowoleni i pełni pozytywnej energii.

– Cieszę się, że tak licznie odwiedzili Państwo Park Żwirowisko i aktywnie uczestniczyli w imprezie ŻEGNAJ LATO, która stanowi ważny element w kalendarzu pruszkowskich imprez miejskich. Dziękuję za wspólną zabawę i zapraszam na kolejne wydarzenia miejskie, których nie zabraknie również nadchodzącą jesienią – powiedział Prezydent Paweł Makuch.





Stanisław Kolanowski - „To była sprawa, której raczej się nie poruszało” cz. 2

Stanisław Kolanowski, ur. w 1934 roku, w czasie okupacji mieszkał z rodzicami, Karolem i Janiną oraz młodszym bratem Jarosławem przy ul. Uniwersyteckiej w Warszawie. Po wybuchu Powstania Warszawskiego, w połowie sierpnia 1944 roku, wraz z matką, bratem i przebywającym czasowo u rodziny wujem, Włodzimierzem Ciesielskim, zostali zgromadzeni w punkcie zbiorowym na Zieleniaku, a następnie popędzeni do majątku Raków. Przewiezieni stamtąd kolejką EKD do Pruszkowa, znaleźli się w obozie Dulag 121, z którego po około dwóch dobach udało im się wydostać. W późniejszym czasie przez obóz przeszedł również Karol Kolanowski, w czasie okupacji pracownik warszawskiego magistratu i współpracownik z Delegaturą Rządu na Kraj, który został wyprowadzony z Dulagu dzięki pomocy Rady Głównej Opiekuńczej. Wywiad z Panem Stanisławem Kolanowskim, którego drugą część prezentujemy, został przeprowadzony w 2022 roku w Muzeum Dulag 121.

W obozie było już dość dużo ludzi. Spędziliśmy w nim dwie albo trzy noce. Znaleźliśmy sobie takie legowisko koło betonowego filaru w dużej hali, śmierzdzało w niej olejami, smarami. Można było się oprzeć o ten filar. Tam dawali nam żupę, chyba też jakiś chleb. Jak się później dowiedziałem, tę żupę i jakąś tam opiekę zapewniała RGO [Rada Główna Opiekuńcza]. Ale w czym ta żupa była? Nie mieliśmy przecież z sobą żadnych naczyń. Mama zabrała tylko taką maleńką walizkę z teksturą z lekarstwami dla brata na zapalenie nerek. Chyba z jakichś puszek po konserwach tę żupę jedliśmy. Łyżek nie było, więc piliśmy ją, przechylając puszkę. W pewnym momencie usłyszeliśmy jakiś huk, szum czy chrobot. Podeszliśmy do drzwi tej hali i zobaczyliśmy, jak od bramy tą główną aleją wjeżdżały czołgi niemieckie, na których siedzieli żołnierze w czarnych mundurach. Rozległ się krzyk, że to SS i że będzie nas rozstrzeliwać. Ludzie zaczęli uciekać w stronę bramy, więc my oczywiście też chodu. Nie ma na co czekać, prawda? W pewnym momencie zaczęli od tej bramy strzelać z karabinów maszynowych. Przy szynach leżał przewrócony na bok stalowy wózek transportowy, którym wożono jakieś materiały budowlane. Schowaliśmy się za tym wózkiem. Do dzisiaj pamiętam stukot pocisków uderzających w tę blachę. Przed nami biegła jakaś kobieta z wielkim bagażem. Zastrzelili ją, przewróciła się tuż obok. W pewnym momencie ogień ustał. Siedzimy, czekamy, co będzie dalej, i naraz widzimy, jak idzie jakiś facet. Pamiętam, że miał długie buty i czarne bryczesy, brązową skórzaną kurtkę i pistolet za pasem. Ryczał: „Herr Ciesielski, Herr Ciesielski”. Ciesielski to nazwisko mojego wuja i panierleski nazwisko mojej mamy. Wuj podeszedł do niego i usłyszał, że ma wychodzić, bo ktoś za jego wyjście z obozu zapłacił. Wujek na to, że jest z siostrą i z dziećmi. „A niech będą wszyscy”. Pamiętam karabiny maszynowe stojące przy bramie i jakąś taką budkę. Przeszliśmy przez furtkę. Z tyłu na ulicy stał tłum ludzi, m.in. ksiądz. Niemiec podeszedł do tego księdza i powiedział, że to jest Herr Ciesielski, a ksiądz na to: „To nie ten”. Niemiec zaczął odpinać kaburę, więc my chodu. Ludzie się rozstąpili, wpadliśmy w ten tłum i biegliśmy wzdłuż uliczki, wzdłuż tych budynków. Po drodze był sklep spożywczy, wpadliśmy do środka. To było blisko, daleko nie uciekaliśmy. Mnie i brata ludzie wsadzili pod ładę, mojej mamie narzucili biały fartuch sklepowy, a wuja na zaplecze wypchnęli. Wpadli żandarmi: „Czy ktoś tutaj był?”. „Nikogo tu nie było, wszyscy swoi”. I oni polecili dalej. Dzięki temu możemy dzisiaj rozmawiać.

Dalsza droga też była bardzo ciekawa. Moja mama miała w Komorowie jakąś jedną ze swoich bardzo wielu siostr ciotecznych, bo to była rozgałęziona rodzina. Postanowiliśmy jechać do tego Komorowa. Jak my się tam dostaliśmy? Chyba EKD. Przyjechaliśmy do Komorowa, tam nas oczywiście zaraz odżywiłi, umyli, wykąpali. Przespaliliśmy się jedną noc i rano trzeba było ruszać dalej. Mieliśmy taką umowę rodzinną, że jak się zgubimy w czasie wojny, to się spotkamy we wsi Gomunice. To jest stacja Kamiński Stary, za Radomskiem. Tam mieszkała koleżna z wielu siostr mojej mamy. Ona wyszła za mąż za kolejarza – Krystof miał na nazwisko. Ten nasz wujek był zawiadowcą stacji kolejowej. To była nie-duża stacyjka, liczyła pięć czy sześć osób personelu. Jako zawiadowca był kimś bardzo ważnym, miał

bardzo ładny dom, duży sad przy domu, ule. Ciocia trzymała na podwórku klatki z królikami i drób, więc było źródło mięsa. W domu zamontowano centralne ogrzewanie z kuchni węglowej. Obok kuchni znajdował się taki dość duży salon, w którym stało pianino. Obok było też wejście do piwnicy. Przyzwicie tam było. Postanowiliśmy więc tam pojechać. Dotarliśmy na przystanek kolejowy. Pamiętam, że peron był wysypany żużlem piecowym. Przyjechały wagony, tzw. bokówki, z taką deską, po której się wchodziło do każdego przedziału. W wagonach pełno ludzi, nawet na dachu siedzieli. Oczywiście mowy nie było, żeby do jakiegokolwiek przedziału wejść, wykluczone. Wszystkie te dechy obstawione ludźmi. Co tu robić? Pierwszy wagon był oczywiście „Nur für Deutsche” [Z niem. „Tylko dla Niemców”]. Wuj zarządził: „Idziemy do pierwszego wagonu”. Otworzyliśmy drzwi, a tam siedział jakiś oficer. Wuj piękną niemiecką z berlińskim akcentem zapytał, czy można. Weszliśmy sobie spokojnie, usiedliśmy. Wuj powiedział, że jedziemy z Warszawy. „A gdzie są bagaże?” „Bagaże to poszły dużo wcześniej, zgubiliśmy się w tej zawierusze wojennej”. Mnie jeszcze na peronie ktoś pchnął i zdarłem kolano. Okazało się, że ten oficer, esesman, był lekarzem. Wyjął torebeczkę, zrobił mi opatrunk. Wuj powiedział: „Podziękuj panu doktorowi”. Podziękowałem po niemiecku. Niemiec był przekonany, że jesteśmy volksdeutschami. Okazało się, że był z Berlina, więc zaczęli ze wujem rozmawiać o jakichś knajpach, burdelach. Wuj był używającym życia młodym człowiekiem. Oni cały czas gadali, wuj z tym esesmanem. Jakiś patrol przechodził, Niemiec od razu podniósł rękę: „Wszystko w porządku”, więc poszedł dalej. Gdyby nas wylegitymowali jako warszawiaków, to od razu trafilibyśmy do transportu albo do Auschwitz, albo do Niemiec na roboty. W tak cudownej atmosferze dojechaliśmy do Piotrkowa Trybunalskiego. On też zmierzał do tego Piotrkowa. Blisko dworca mieszkała jeszcze jedna z ciotecznych siostr mojej mamy i na początek do niej chcieliśmy pójść, zatrzymać się na chwilę, przede wszystkim coś zjeść, bo nic nie mieliśmy. A on nas zaprasza, że po niego landrat przysłał samochód, że on nas odwiezie. Jeszcze było tak, że jak wyszliśmy z pociągu, to się okazało, że cały peron został obstawiony żandarmami z psami i wyłapywali warszawiaków. Gdy szliśmy z tym oficerem niemieckim, to żandarmi się rozstąpili, oczywiście zahajlowali jak trzeba. Przy pożegnaniu esesman dał wujowi wizytówkę, że jak tylko będzie w Berlinie, to żeby koniecznie do niego zaszedł. Pomachał mi, on pojechał, a my chodu. Niezła przygoda, prawda? Udało się.

U cioci nakarmili nas, położyli spać i rano pojechaliśmy do Gomunicy. Tam już do ofensywy styczniowej mieszkaliśmy. W tych Gomunicach, gdzie był sad i ule, przy których zresztą pomagałem, wujek zaczął leczyć Jarka. Nie było żadnych leków. Kurował go miodem i mleczkiem pszczelim. Pamiętam, że brat musiał leżeć pod pierzyną, pocieść się straszliwie, ale wujek go wyprowadził.

Obok tej wsi znajdowała się dość duża fabryka ceraty. Później przez wiele lat była tam fabryka tworzyw sztucznych. Ponieważ tamteży biegła bocznica kolejowa do fabryki, Niemcy urządzili w niej sobie magazyny zaopatrzenia frontu, a w samej wsi zakwaterowali niemiecką kolumnę transportową, żeby dostarczała na front co trzeba – amunicję i żywność, głównie w konserwach. Po raz pierwszy i jedyny jadłem wtedy francuskie konserwy z żabich udek. Do tego naszego domu przysłali czterech żołnierzy do zakwaterowania. Najstarszy miał na imię Eduard, Edi, ale jak nazwisko nie pamiętam. Był plantatorem wina z Nadrenii. Nienawidził Hitlera, nienawidził Prusaków. Edi dowodził dla nas różne rzeczy, produkty żywnościowe. Mój cioteczny brat, który był starszym chłopakiem, miał kontakty z partyzantami. Edi się z nim tak umawiał, że gdy jechał na front, to zrzucał a to skrzynki granatów, a to skrzynkę innej amunicji. Ten Staś to wszystko pakował i chodu do lasu. Dowodził to tym oddziałom leśnym. Z Edim była taka sztama. Bardzo fajny, sympatyczny, wysoki chłop.

Wróć teraz do wątku dotyczącego mojego taty, który w chwili wybuchu powstania był w ratunku, a później, jak już zbliżyły się oddziały niemieckie, to ci wszyscy urzędnicy przeszli na Stare Miasto. Tata gdzieś na Freta się zakwaterował i tam całe to obłężenie Starego Miasta przeżył. Brał udział w odgruzowywaniu z bombardowanych domów, w ratowaniu ludzi, normalnie jak wszyscy. Gdy nastąpiła ewakuacja Sta-

rego Miasta, wychodzili kanałami, z wyjątkiem tych oddziałów, które w mundurach przeszły przez ogród Saski. Przywieźli ich do Dulagu, z tym, że nie wiem kiedy. Ojciec bardzo oszczędnie nam przekazywał te informacje. Po wojnie była taka sytuacja, że informacje o powstaniu mogły zaszkodzić. Rodzice na wszelki wypadek za wiele nam nie mówili. Później mama trochę nam opowiadała, pamiętałem też urywki rozmów z ojcem i na tej podstawie zbudowałem sobie jakąś wiedzę. Gdy ojciec był w Dulagu, okazało się, że RGO miała listę osób do uratowania. Na tej liście był też mój ojciec. Miał symulować czerwonkę, czyli dyzenterię, w związku z czym dali mu butelkę jakiejś krwi i po każdym wypróżnieniu musiał spryskać nią odchody, bo strażnik to sprawdzał. Skierowali go do szpitalika mieszczącego się chyba na terenie obozu. Jak tylko się znalazł w tym szpitaliku, to nałożyli mu fartuch pielęgniarski i z innym pielęgniarskim wyszedł na zewnątrz. RGO go uratowała.

Przyjechał do nas do Gomunicy. Wreszcie byliśmy razem. W międzyczasie były święta Bożego Narodzenia i Nowy Rok. Jak ci Niemcy się trochę popili, to jeden z nich powiedział: „Troszku pjanu”. Zapytał, czy może zagrać. Usiadł przy pianinie, pograł trochę, a potem sięgnął po zeszyt nut, który leżał na górze. Ciocia zzieleniała. Tam były same patriotyczne nasze pieśni. Zaczął grać „Jeszcze Polska nie zginęła...”, więc my wszyscy wstaliśmy. Edi zapytał: „Dlaczego wy wstajecie?”. „Bo to nasz hymn narodowy”. On natychmiast do tych Niemców: „Achtung!”, że wszyscy na baczność. Dopóki tamten grał hymn, wszyscy Niemcy stali na baczność. Powiedzieliśmy, żeby przestał, bo przyjdą żandarmi i nas wszystkich zaarrestują, rozstrzelają. Edi przesunął pistolet na brzuch: „No niech przyjdą”. Tak było.

Zbliżała się ofensywa styczniowa. W pobliżu przebiegała szosa. To była jedyna szosa asfaltowa w okolicy, prowadząca do Katowic. Słyszeliśmy już, że coś się dzieje, że huczy artyleria itd., że coraz bliżej są te strzały. Któregoś dnia Niemcy się pozbierali, umundurowali do wyjścia. Pamiętam, że za cholewami mieli włożone granaty, w rękę trzymali pancerfausty. Edi powiedział: „My już odchodzimy, nie możemy was chronić. Schowajcie się do piwnicy, bo mamy rozkaz wszystkich naszych gospodarzy rozstrzelać. Żandarmi będą to sprawdzać”. Weszliśmy do piwnicy, oni ją zamknęli, położyli dywanik, postawili stół, jeszcze nakrycia były na stole, i poszli. W tej piwnicy siedzieliśmy chyba jedną noc. Usłyszałem jakiś straszliwy chrobot. Wspiąłem się na skrzynki na owoce do okienka, spojrziałem, a tam jakiś czołg jechał przez ogród, łamiąc wszystkie ogrodzenia, za nim jacyś żołnierze, ale nie Niemcy. To byli Sowiet. Mój tata też podeszedł do okienka: „Tak, to sowieckie wojsko”. Jak tak, to wychodzimy. Trzeba było tę kłapę podnieść, stół się przewrócił, naczynia się potłukły, ale wyszliśmy z tej piwnicy i tak się nam zakończyła wojna.

Co się zdarzyło potem? Wrócili Państwo do Warszawy?

Nie było do czego wracać. Oczywiście tata natychmiast pojechał z Gomunicy do Warszawy, żeby zobaczyć, co i jak, ale dom był zburzony, spalony i jedyne, co przywiózł, to kawałek stopionego szkła z żyrandola, który przed powstaniem wisiał w stołowym pokoju. Po wojnie skarbowcy się poszukiwali. To był chyba dyrektor departamentu, ojciec był jego zastępcą, nazywał się Zagórowski. My byliśmy już w szkole, to musiał być w październiku. Wiadomo już było, że Śląsk będzie polski, i wtedy zorganizowano Bytomskie Zjednoczenie Przemysłu Węglowego. Zagórowski został dyrektorem tego Zjednoczenia i ściągnął ojca jako swojego zastępcę. Tata został dyrektorem administracyjnym. Zakwaterowaliśmy się na Śląsku. Początkowo w Szopienicach, a później w Bytomiu. W Bytomiu dotrwałem do 1951 roku, do matury. [...]

Obaj z bratem byliśmy harcerzami. Bezpośrednio po wojnie naszymi instruktorami byli dawni podchorążowie AK. Zostały nam z tego okresu ciekawe wspomnienia. Pierwszy obóz harcerski, na który pojechaliśmy z Bytomia, był w Sudetach, w okolicy Glucholazów. Ponieważ działał jeszcze Werwolf [Werwolf – niemiecka partyzantka działająca na ziemiach utraconych przez III Rzeszę – przyp. red.], bo to był rok 1946, wieźli nas tam samochodami wojskowymi. Zajechaliśmy przed komendę miejską UB i tam nasza kadra pobrała broń krótką, krótkofalówkę do kontaktu z UB, skrzynkę granatów i karabin z amunicją. Ponieważ trzeba było pełnić wartę dookoła obozu, oczywiście harcerze pełnili tę war-

tę. Chodziliśmy z karabinami naładowanymi ostrą amunicją. Zawsze były warty całonocne, dla nas to nie była żadna nowość ani rewelacja. Wszyscy przecież przeżyliśmy wojnę, szczególnie powstanie. Edi też mi dawał karabin, żebym strzelał na wiatw na Nowy Rok.

Czy zna Pan losy Ediego?

Tak, zginął pod Łodzią. Mój tata napisał na ten adres, który miał od niego, i miejscowy wójt odpisał, że ten pan nie wrócił z wojny i według informacji z Czerwonego Krzyża zginął pod miejscowością Lit-zmannstadt, to znaczy pod Łodzią. Niestety Edi nie wrócił, a mówił: „Koniecznie do mnie przyjeździe, mam winnice, będą piękne wakacje”. Taki serdeczny facet był, fajny, przyzwitoły człowiek. Nie każdy Niemiec był zbrodniarzem i bandytą. Mieszkając później w Niemczech, też się przekonałem, że mnóstwo ludzi jest bardzo przyzwitołych, serdecznych, fajnych. Tak jak wszędzie.

Czy wie Pan o powstańczych przeżyciach sąsiadów z Ochoty?

Nazwisk nie pamiętam. Wiem, że na pewno zginął sąsiad, który był lekarzem i który stwierdził, że nie wyjdzie. Był już trochę starszy. Kiedy wychodziliśmy, on siedział w piwnicy koło nas, mówiąc: „Ja zostaję”. Oczywiście go zastrzelili. Poza tym nie umiem określić sąsiadów. Były dwie dziewczynki, starsza miała na imię Marta, a tej młodszej już nie pamiętam.

Jakie były dalsze losy Pana i Pańskiej rodziny?

Na studia wróciłem do Warszawy. To były też ciekawe historie. Początkowo waletowałem w tym akademiku na placu Narutowicza, czyli naprzeciwko mojemu domu. Po studiach wzięli mnie przymusowo do wojska, więc byłem jeszcze w korpusie oficerów topografów, ponieważ skończyłem geodezję. Oczywiście fachowa robota przez cały czas i przyjemna zawodowo. Chwałę sobie, bo nauczyłem się m.in. kierować ludźmi – miałem żołnierzy, takich fachowców do roboty, i musiałem nimi odpowiednio zarządzać. To mnie nauczyło współpracy i kierowania ludźmi, co mi się bardzo przydało w dalszej karierze zawodowej. Po odbyciu służby wojskowej zamieszkałem w Warszawie. I tak już 62 lata.

Moi rodzice nie wrócili od razu do Warszawy. Mój tata został zaarrestowany przez UB, przesłuchiwany, ale nie udowodnili mu działalności wojskowej, bo jej nie prowadził, chociaż był oficerem rezer-

WRZESIEŃ Z MUZEUM DULAG 121

1.09-31.10 Wystawa Muzeum Dulag 121 „W konspiracji. Działalność Wojskowej Służby Kobiet w VI Rejonie „Helenów” VII Obwodu „Obroza” AK w latach 1939-1945” będzie dostępna w Izbie Tożsamości Ursusa (ul. Traktorzystów 20, 02-495 Warszawa).

3.09 g. 12.00 Śladami zbrodni na ludności cywilnej Starego Miasta – spacer historyczny. Zbiórka pod Pomnikiem Powstania Warszawskiego przy placu Krasieńskich w Warszawie.

9.09. g. 13:00-19:00 Piknik Rodzinny Powiatu Pruszkowskiego w parku im. T. Kościuszki w Pruszkowie. Na stoisku Muzeum Dulag 121 odbędą się m.in.: warsztaty historyczno-plastyczne, gry, zabawy i animacje dla dzieci i dorosłych.

16.09 g. 17:00 Kobiety w konspiracji – spotkanie poświęcone działalności Wojskowej Służby Kobiet w Ursusie w latach 1939-1945. Izba Tożsamości Ursusa (ul. Traktorzystów 20, 02-495 Warszawa).

17.09 g. 12.00 Śladami zbrodni na ludności cywilnej Marymontu – spacer historyczny. Zbiórka przy ul. Słowackiego 52/54, pod budynkiem Szkoły Głównej Służby Pożarniczej, Warszawa.

24.09 g. 12.00 Śladami zbrodni na ludności cywilnej Mokotowa – spacer historyczny. Zbiórka przed Sanktuarium św. Andrzeja Boboli, ul. Rakowiecka 61, Warszawa.

Więcej info: www.dulag121.pl



wy, bo brał udział w wojnie bolszewickiej. Później zgłosił się ktoś z dawnych skarbowców, był szefem Najwyższej Izby Kontroli i zatrudnił tatę do oddziału w Katowicach. Ojciec tam się przeniósł. W ramach NIK-u uzyskał potem przeniesienie do Warszawy. Właściwie do emerytury pracował w NIK-u.

Wspomnę jeszcze, że ojciec, działając przy Delegaturze na Kraj, która m.in. przygotowywała zasady odbudowy i funkcjonowania państwa po wojnie – pewnie to samo robili w Londynie – przeprowadzał rozmaite analizy. Było takie wydawnictwo przedwojenne „Pięć lat na froncie gospodarczym”, opisujące odbudowę odrodzonej Polski. Tam jest cały rozdział mojego ojca. Mój tata skończył w 1939 roku pracę w Ministerstwie Skarbu jako wicedyrektor departamentu. Ja także odszedłem na emeryturę z Ministerstwa Skarbu jako wicedyrektor departamentu. Dokładnie z tego samego stanowiska.

Czy w rodzinie mówiło się o czasie powstania? Czy tę pamięć się jakoś kultywowało, czy przeciwnie?

Nie rozwodziliśmy się nad tym nigdy, tzn. nie było to temat tabu, ale nigdy nie był poruszany. Później, jak już pracowałem, częściowo również w Niemczech (w Turynii byłem przez trzy i pół roku), wtedy w dniu wybuchu powstania organizowałem dla swoich pracowników taki wieczór wspomnień powstańców. Wśród pracowników miałem jednego, starszego ode mnie, który był żołnierzem i służył w żandarmerii powstańczej, uczestniczył również w tych mieszanych patrolach polsko-niemieckich przy likwidacji powstania, po kapitulacji. Opowiadał bardzo ciekawe rzeczy.

Jak przebiegały takie spotkania?

W powstaniu byliśmy tylko my dwaj, pozostali koledzy i pracownicy nie byli warszawiakami w tym czasie, nie brali udziału w powstaniu. Każdy miał jednak jakieś wojenne przeżycia. Zawsze starałem się udekorować miejsce tych wspomnień – zdobyć kawałek tapety imitującej cegły, oczywiście namalować na niej kotwicę. Takie wieczory wspomnień robiliśmy w moim służbowym mieszkaniu.

Czy zachowały się jakieś dokumenty, cokolwiek z czasów wojennych?

Z czasów wojennych nic. Wszystko się spaliło, całe nasze rodzinne archiwa. Nikt tego nie spisywał, bo to była sprawa, której raczej się nie poruszało. Przez wiele lat to był niebezpieczny temat. Powiem pani taką ciekawostkę, otóż gdy mieszkaliśmy w domu akademickim przy placu Narutowicza, za szafę wpadł mi but czy coś innego. Okazało się, że tam była ścianka z dykty, a w niej dziura. Sięgnąłem tam ręką – i co się okazało? W środku było dużo amunicji niemieckiej. Tam przecież były koszyki. Wyciągnąłem tę amunicję i kolegom, którzy byli ze mną w pokoju, powiedziałem: „Patrzcie, amunicja”. Ktoś oczywiście doniósł, więc mnie aresztowali i UB przesłuchiwało mnie całą noc, skąd wiem, że to niemiecka amunicja. Po kilka razy to samo tłumaczyłem: „Bo mieszkaliśmy przez całą okupację naprzeciwko i wiem, że tam było zakwaterowane wojsko niemieckie, które ulicą Uniwersytecką koło Żwirki i Wigury przechodziło na ćwiczenia. Stąd wiem o tym, że tam byli, i tyle”.

Wypuścili po tej nocy?

Tak, wypuścili.

Czy jest coś, do czego chciałby Pan jeszcze wrócić?

Po powstaniu straciłem mowę. Trudno się dziwić, że po tym wszystkim utraciłem zdolność mówienia. Po prostu emocje były tak silne, że mnie zablokowało wewnętrznie. W ogóle nie byłem w stanie wydusić z siebie ani jednego słowa. Myślę, że to trwało parę miesięcy. Byłem kompletnym niemową. Później wróciła mi zdolność mówienia, ale się potwornie jąkałem. Właściwie jeszcze po studiach się jąkałem, ale opanowałem to.

To nastąpiło zaraz po powstaniu?

Tak, to były efekty popowstaniowe. Straszliwa trauma popowstaniowa. To, co przeżyliśmy... To rozstrzelanie. Wiedziałem, że to już jest koniec, że wszyscy umrą. Tylko bałem się, nie wiedziałem, czy to boli, jak się umiera. Po prostu bałem się bólu. Później ten Zieleniak, to było coś przerażającego. Raków to właściwie odpoczynek, później miły fragment w EKD i Dulagu. W Dulagu straszliwe były ta niepewność i nędza koczowania na brudnym betonie przy słupie. Może już nieco odżywiani, ale szczerze

powiedziawszy, luksusy to nie były. Raz dziennie gorąca zupa i chleb.

W jaki sposób pokonał Pan te trudności?

Siłą woli, miałem świadomość, że muszę to pokonać. Zaczęło się od tego, że jeszcze jak mieszkaliśmy w akademiku przy placu Naruto-

wicza, na dole były łaźnie, prysznice i maleńki basen, krótki, ale można było sobie popływać. Chodziłem tam i robiłem sobie taką hydroterapię, na przemian gorący i zimny prysznic. Uważałem, że to może mi pomóc. Ponadto zwracałem uwagę, na których głoskach się zacinam, i starałem się ich unikać. Przez cały czas uważa-

i napięcie. Powolutku, powolutku to wszystko jakoś przechodziło, udało się to jakoś opanować. Przez wiele lat byłem nawet wykładowcą. Czasami jak jestem całkowicie rozluźniony, a do tego zmęczony, to się jeszcze zatnę, ale bardzo rzadko. Pomogły świadomość i siła woli. Tak uważam.



INSTYTUT
PAMIĘCI
NARODOWEJ



powiat
pruszkowski
nieskończone możliwości

Pruszków
poznasz - polubisz



121
Muzeum Dulag 121

DZIEŃ PAMIĘCI WIĘŹNIÓW OBOZU DULAG 121 I NIOSĄCYCH IM POMOC

30 WRZEŚNIA 2023 R. (SOBOTA)

godz. 12.00 Uroczystości pod pomnikiem „Tędy przeszła Warszawa”

godz. 14.00 Poczęstunek dla gości

Teren dawnego obozu Dulag 121 (obecnie MLP)
Pruszków, ul. 3 Maja 8A

Wjazd dla samochodów możliwy jest tylko przez
bramę MLP Group przy ul. 3 Maja 8 w Pruszkowie

1 PAŹDZIERNIKA 2023 R. (NIEDZIELA)

godz. 18.00 Msza Święta w intencji byłych więźniów obozu Dulag 121 i osób im pomagających

godz. 19.00 Koncert słowno-muzyczny pamięci wypędzonych oraz tych, którzy nieśli im pomoc „Kiedy ucichną pociągów dreszcze” przygotowany przez Fundację ART

Wykonawcy: Andrzej Mastalerz i Maria Reif (teksty), Maria Tsapenko (piano), Dawid Mrktchyan (skrzypce), Aleksandra Muszyńska (śpiew)

Kościół NPNMP w Żbikowie, ul. 3 Maja 124, Pruszków

2 PAŹDZIERNIKA 2023 R. (PONIEDZIAŁEK)

godz. 18.00 Msza Święta w intencji ludności cywilnej powstańczej Warszawy oraz więźniów obozu Dulag 121 i osób niosących im pomoc

Parafia Św. Wojciecha na Woli,
ul. Wolska 76, Warszawa

RP

Prezydent
Rzeczypospolitej
Polskiej

PATRONAT HONOROWY
PREZYDENTA
RZECZYPOSPOLITEJ POLSKIEJ
ANDRZEJA DUDY

Więcej informacji: Muzeum Dulag 121
tel. (22) 758 86 63, dulag@dulag121.pl
www.dulag121.pl



PARTNERZY



PATRONI MEDIALNI





Seniorzy mają moc



Adam St. Trąbiński - dziennikarz, publicysta
Foto - Tomasz Malczyk, Adam St. Trąbiński

To trawestacja hasła marszu seniorów w Krakowie w ub. tygodniu, w ramach X już Zjazdu seniorów z całej Polski i nawet świata. Nasza redakcja wzięła w nim udział na zaproszenie pruszkowskiej Rady Seniorów, a ta z kolei delegowała skromną 10-osobową grupę na krakowską imprezę. Albowiem niektóre gminy wystawiły strojne i z zabawnymi hasłami grupy nawet po 69 osób, w sumie wg szacunków w tegorocznych Senioraliach wzięło udział blisko 4 tys. osób, w tym z 10 krajów, nawet tak odległych jak Australia.

Pruszkowska grupa zjawiła się w mieście Kraka już 31 sierpnia w południe. Po zakwaterowaniu na odległych Bronowicach (miasteczko akademickie, wypasiony dom studencki, czasy i warunki się zmieniają) krótkie zwiedzanie – w tym ostatni dzień wystawy słynnych szopek krakowskich w Auli bł. Jakuba przy Franciszkańskiej 4 (dokładnie naprzeciw słynnego „Domu Papińskiego”), potem spacer i seminarium dziennikarskie w podziemnej restauracji na terenie Collegium Maius.

Dzień następny to spóźnione przybycie na Mszę św. w kościele mariackim (niestety świątynia nie mieści „wszystkich” seniorów), wystąpienie hejnału, tak jakby granego specjalnie dla nas! I sformowanie pochodu-marszu. Trasa nieco pokrętna i wydłużona by Kraków, turyści i liczne media go zobaczyły, i wolny komentowany przez wodzireja przemarsz do Parku Jordana. A tam w atmosferze piknikowej przy wspaniałej letniej pogodzie festyn do późnego wieczoru. Olbrzymia estrada, przed nią równie wielki parkiet taneczny – wszak wbrew pozorom seniorzy kochają się bawić! – setki krzesełek a wokół liczne stoiska sponsorskie. Lub jak kto woli spacer ocienionymi alejkami parku i np. gry. W francuskie boule pétanque, w co niżej podpisany grał bodaj pierwszy raz w życiu. Nb. ta zręcznościowa gra ma wkrótce zawitać do Pruszkowa dzięki inicjatywie Rady Seniorów. Trudno wymienić wszystkie atrakcje 8 godzinnego pikniku, oprócz wielu oficjalnych powitań i wystąpień. Występy artystyczne, m.in. ludowy zespół Ocianki, Korali z Miechowa, solistek Mirosławy Chochół i Jolanty Kurowskiej z Olkusza czy Bożeny Zielińskiej z Końskich, bandy



Baby Jagi z Tarnobroju przeplatane krótkimi pogadankami zdrowotnymi budowały udaną atmosferę pikniku. Oczywiście panie i panowie nie odpuszczali zakupów lokalnych miodów, soków i innych wyrobów lokalnych. I integrowali się a o to chodziło głównie. Niektórzy wieczorem już w oczekiwaniu na powrót odwiedzali liczne ogródki restauracyjne (litrowy kufel Kozła ok. 40 zł w Rynku), takiej ilości przybytków gastronomicznych mogą nam zazdrościć Paryż i Rzym.

Więcej zdjęć na: <https://gpr24.pl/artykul/seniorzy-maja-moc/1472886>





Ochotnicy z OSP jeździli 30-letnim wozem

Dzięki CPK do gminy Wiskitki trafi zupełnie nowy pojazd.

Centralny Port Komunikacyjny podpisał umowę na wsparcie kolejnej z Ochotniczych Straży Pożarnych z gminy Wiskitki. Tym razem ciężki wóz ratowniczo-gaśniczy otrzymają strażacy z Nowego Drzewicza.

Umowa zakłada, że CPK dofinansuje zakup pojazdu kwotą 1,3 mln zł. To ważny element wsparcia lokalnej społeczności, bo dotychczas jednostka dysponowała wozami z 2000 i 1989 roku.

– Spółka już teraz chce udowodnić mieszkańcom gmin, na terenie których powstanie lotnisko, że CPK będzie dobrym sąsiadem. Tylko w ubiegłym roku jednostka z Nowego Drzewicza wyruszyła do akcji kilkadziesiąt razy i zawsze niosła pomoc lokalnej społeczności. Teraz, będą mogli to robić jeszcze skuteczniej, a dodatkowo znacząco wzrosnie ich własne bezpieczeństwo – komentuje Katarzyna Dobrońska, dyrektor Pionu Relacji i Rozwoju Otoczenia w spółce CPK.

Ochotnicza Straż Pożarna w Nowym Drzewiczu znajduje się przy drodze powiatowej nr 4135W, którą obejmuje projektowany układ drogowy przy inwestycji CPK. Od południa ograniczona jest autostradą A2, gdzie planowany jest korytarz linii kolejowej nr 88, wchodzącej w skład węzła kolejowego Centralnego Portu Komunikacyjnego.

– Cieszę się, że potrzeby OSP Nowy Drzewicz zostały pozytywnie rozpatrzone przez spółkę CPK. Kolejny wóz dla ochotników z gminy Wiskitki to gwarancja bezpieczeństwa dla całego powiatu i możliwość szybkiej reakcji w sytuacji pożaru, wiatrołomu czy innych zdarzeń wymagających interwencji – mówi Krzysztof Dziwisz, starosta powiatu żyrardowskiego.

W ramach działań wspierających rozwój regionu spółka CPK współfinansowała dotychczas inicjatywy i zakupy ważne dla samorządów i mieszkańców z terenu inwestycji, np.: remonty dróg realizowane z programu „Bezpieczne Drogi” (80 mln zł dla 9 gmin i 4 powiatów), wsparcie 23 samorządów w ramach programu „Administracja”, którego budżet wynosi 7 mln zł, zakup wozów ratowniczo-gaśniczych dla Ochotniczych Straży Pożarnych czy budowę lądowiska dla śmigłowców dla Szpitala Zachodniego w Grodzisku Mazowieckim.

Centralny Port Komunikacyjny dofinansował również zakup karmy, paszy, usług weterynaryjnych i niezbędne remonty dla Fundacji Kraina Zwierząt z gminy Baranów.





100 LAT BIBLIOTEKI MIEJSKIEJ W PRUSZKOWIE

Cześć 6. Rok 1945, nowy początek



Tekst & foto - Marian Skwara pisarz, historyk, publicysta

Nowa władza już w 12-tym dniu po wyzwoleniu zatroszczyła się o przywrócenie działalności biblioteki. Pierwszy, tymczasowy burmistrz miasta, Wacław Mańkowski, członek konspiracyjnej do niedawna Polskiej Partii Robotniczej, wystosował do jednej ze swych podwładnych, kancelistki Jadwigi Chmielewskiej pismo o treści: „Z dniem dzisiejszym Zarząd Miasta zezwala na otwarcie Miejskiej Biblioteki Publicznej im. H. Sienkiewicza przy ul. Kościuszki 43 oraz przydziela Panią na stanowisko Kierowniczkę w wyżej wymienionej bibliotece”.

Chmielewska wróciła na stanowisko po czteroletniej przerwie. Biblioteki nie dało się od razu uruchomić, ale tym razem poszło dużo szybciej i sprawniej niż po pierwszej wojnie światowej. Po kilku tygodniach pruszkowianie z plakatów z sygnaturą prezydenta Stanisława Witkowskiego (z partii PPS) dowiedzieli się, że biblioteka miejska zostanie uruchomiona z dniem 9 kwietnia 1945 r. W tym samym miesiącu mianowano drugą bibliotekarkę – Jadwigę Jaros. Później przybyła jeszcze jedna, prawdopodobnie Róża Chrzęszczewska. Tak jak przed wojną, korzystanie z biblioteki miało być płatne, ale nie potrwało to długo, w 1948 roku już nie było opłat.

W pierwszym sprawozdaniu, z 25 stycznia 1946 roku, przedstawiono bilans niespełna 8-miesięcznej działalności w 1945 roku, a w tym następujące dane liczbowe: stan księgozbioru na 1 stycznia 1946 roku – 5.320 tomów; stan przedwojenny – 7.969 tomów. Różnica wynosiła 2.649 in minus, czyli takie były wojenne straty. Złożyły się na to: 1) książki zabrane przez Niemców, 2) zniszczone, oraz 3) niezwrócone przez czytelników. Do końca 1947 liczba książek wzrosła do 7.206, a liczba czytelników przekroczyła 1500 osób. Struktura była następująca: dorośli 48%, młodzież 14-18 lat 38,6% i dzieci 13%. Wśród dorosłych tak samo jak przed wojną duża przewaga kobiet. Inaczej mówiąc o charakterze biblioteki przesądzały dwie największe grupy, ucząca się młodzież (38,6%) i gospodynie domowe (34,1%).

W sprawozdaniu podano także, że biblioteka zajmuje trzy pokoje o powierzchni 71 m². Później, prawdopodobnie na początku lat 60-tych, doszło do powiększenia powierzchni, już drugiego w historii tego lokalu, tym razem do 99 m². To oznaczała, że ostatecznie do biblioteki włączone już całe „mieszkanie stróża”, z którego w 1937 roku odłączono jedynie jedną izbę.

Już kilka tygodni po wyzwoleniu ujawnił stosunek nowej władzy do bibliotecznych księgozbiorów. Inspektorat Szkolny 6 czerwca 1945 roku wysłał do biblioteki pismo, w którym wzywa do „dokonania

rewizji księgozbiorów i zrobienie wykazu książek, które ze względu na swe tendencje antydemokratyczne są sprzeczne z ideologią Polski demokratycznej”. Zarząd Miejski odpowiedział, że Biuro Kontroli Prasy, Publikacji i Widowisk w Pruszkowie już dokonało rewizji księgozbiorów na terenie miasta i w następstwie takie książki zostały wycofane. Z tej odpowiedzi wynika, że jednym z wojewódzkich urzędów, które w 1945 roku miały siedzibę w Pruszkowie był także urząd cenzury.

Pierwsza akcja czyszczenia księgozbioru dotknęła tylko 10 tytułów czterech autorów, w tym trzech żyjących, których oskarżono o współpracę z Niemcami. Prawdą to było jedynie w odniesieniu do Feliksa Burdeckiego, autora powieści fantastyczno-naukowych, który rzeczywiście współpracował z niemiecką propagandą i wzywał do wspólnej z Niemcami walki przeciw bolszewikom. Autor połowy tytułów z listy, Ferdynand Goetel, przed wojną prezes polskiego PEN Clubu, był ścigany formalnie za współpracę z Niemcami, ale w rzeczywistości chodziło o to, że dla nowego reżimu i dla Sowietów był niewygodnym świadkiem; w 1943 roku uczestniczył w zorganizowanej przez Niemców misji, która badała groby polskich oficerów w Katyniu.

To była pierwsza, tylko prowizoryczna czystka księgozbioru. Potem, kiedy nowa władza umocniła swoje struktury, nadejdą dalsze, bardziej metodyczne akcje kontrolowania księgozbiorów. W 1947 roku dwukrotnie przeszczyszano księgozbiór wycofując blisko setkę książek, w tym wszystkie dzieła Piłsudskiego i liczne związane z obozem sanacyjnym.

W Pruszkowie trzyosobowa komisja skontrolowała najpierw prywatną bibliotekę Marii Śmigiełskiej-Bednarskiej na rogu ulic Chopina i Kościuszki (która miała 2.358 książek i 200 abonentów), a potem bibliotekę miejską. U Bednarskiej komisja znalazła tylko jedną książkę znajdującą się na indeksie: Stefan Kiedrzyński *W siódmach złudzenia*. Jest to jedna z sensacyjnych powieści zmarłego w czasie wojny autora, który od 1928 roku mieszkał w Brwinowie. Natomiast po zlustrowaniu biblioteki miejskiej komisja podała w protokole, że jej księgozbiór już wcześniej został skontrolowany przez urząd cenzury. Po raz drugi okazało się, że resort oświaty i GUKPiW rywalizowały ze sobą w dziele puryfikacji bibliotecznych półek.

Doniosłe znaczenie dla polskiego bibliotekarstwa miał dekret Rady Ministrów z dnia 17 kwietnia 1946 r. o bibliotekach. Wymienione niżej najważniejsze postanowienia są w zasadzie aktualne do dziś:

Art. 2. Tworzy się ogólnokrajową sieć bibliotek publicznych, utrzymywanych przez Państwo lub inne związki publiczno-prawne.

Art. 9. Sieć publicznych bibliotek powszechnych tworzą biblioteki gminne (miejskie i wiejskie), powiatowe i wojewódzkie.

Art. 10. Do zakładania i utrzymywania publicznych bibliotek powszechnych obowiązane są właściwe związki samorządowe.

Można rzec, że spełniły się postulaty o które bezskutecznie biło się przez 20 lat przedwojenne środowiska bibliotekarskie, to jest aby państwo i samorządy zostały obciążone obowiązkiem zakładania i utrzymywania sieci bibliotek otwartych dla wszystkich obywateli. Szybko się okazało, że nowa władza stawiając na rozwój sieci bibliotek publicznych swoiście rozumiała cel upowszechnienia czytelnictwa – jako narzędzie indoktrynacji społeczeństwa zaimportowaną ze wschodu ideologią, a jednocześnie odcięcie społeczeństwa od niezgodnego z ideologią dorobku kulturalnego i tradycji oraz niepożądanych wpływów zewnętrznych. Biblioteki miały być pasem transmisyjnym w rozpowszechnianiu nowej ideologii, a bibliotekarze żołnierzami rewolucji kulturalnej.

Ustawa o terenowych organach jednolitej władzy państwowej z 20 marca 1950 roku zlikwidowała samorząd lokalny, co oznaczało upaństwowienie bibliotek wszystkich szczebli. Odtąd bibliotekarze byli pracownikami administracji państwowej. Następnym etapem była centralizacja i monopolizacja obiegu książki. Teraz partyjni ideolodzy, przejmując misję „wychowania nowego człowieka”, uzurpowali

sobie prawo do decydowania co należy wydawać, a Polacy powinni czytać. Inaczej mówiąc, koniec z czytelnictwem spontanicznym i żywiołowym na rzecz planowego i ideologicznie ukierunkowanego.

W rezultacie biblioteczne półki zaczęły zapełniać się tomami klasyków marksizmu-leninizmu i ich epigonami i popularyzatorami, a w dziele „beletrystyka” literaturą realizmu socjalistycznego, rodzimą i importowaną. W inwentarzu pruszkowskiej biblioteki pierwszy rzut został zapisany pod datą 7 maja 1948 roku, jedenaście książek wydanych w 1947 i 1948 roku przez PPR-owskie wydawnictwo Spółdzielnia Wydawnicza „Książka”. Prawdziwy wysyp widzimy pod datą 22 października 1949 roku, kolejno 24 razy Marks, Engels, Lenin i Stalin, ale ilościowy rekord we wpisach tego rodzaju literatury nastąpił 21 marca 1950 roku, wprowadzie tylko 16 tytułów, ale za to w sumie w 96 tomach. Ich zapisanie zajęło prawie pięć stron księgi inwentarzowej.

Na półkach pruszkowskiej biblioteki nie mogło oczywiście zabraknąć dzieła nazywanego biblią stalinizmu, czyli *Krótkiego kursu historii WKP(b)*. W Polsce to dzieło miało osiem wydań o łącznym nakładzie ponad dwa i pół miliona egzemplarzy. Już w 1948 roku pruszkowianie mogli pożyczać pierwszą książkę Adama Schaffa (*Wstęp do teorii marksizmu*), który odtąd przez trzy dekady pełnił rolę naczelnego marksisty PRL i głównego ideologa PZPR.

Dzięki statystykom prowadzonym przez bibliotekarki można dość precyzyjnie ustalić jakim powodzeniem w wypożyczeniach cieszyły się te starannie wydane, w twardych oprawkach, tomy „literatury polityczno-społecznej”, a to dlatego, że taką wła-

śnie rubrykę wprowadzono w końcu 1952 roku w arkuszach sprawozdawczych. Zachowało się kilka miesięcznych arkuszy z okresu od końca grudnia 1952 do grudnia 1954. Na przykład w styczniu 1953 roku pruszkowianie z działu „literatura popularno-naukowa” wypożyczyli łącznie 409 książek, w tym 17 książek „polityczno-społecznych”, czyli nieco ponad 4 procent w tej kategorii, natomiast w relacji do wszystkich pożyczonych w styczniu 1953 roku książek, będzie to mniej niż pół procenta. Z wszystkich 5.153 książek pożyczonych w rzeczonym miesiącu, „literatura piękna” stanowiła 92 procent.

Pierwszą jaskółką radzieckiej prozy – zapisaną inwentarzu w grudniu 1949 roku – była *Opowieść o prawdziwym człowieku*, Borysa Polewoja. Była to obowiązkowa lektura szkolna w latach 50., podobnie jak Jak hartowała się stal Nikołaja Ostrowskiego oraz Młoda Gwardia Aleksandra Fadijewa. Wszystkie trzy w Rosji sfilmowane, a w Polsce i innych krajach „obozu socjalistycznego” jeszcze inscenizowane w teatrach.

Pozycja zapisana w inwentarzu w trzech egzemplarzach we wrześniu 1950 roku, przekład z czeskiego, Wasek Kania *Brygada szlifierza Karhana*, to tekst sztuki teatralnej, która z jakichś powodów stała się jedną ze sztandarowych produkcji socrealizmu. Sztuka ta w Polsce nie tylko była grana w teatrach, ale i sfilmowana. Rzecz jest warta przypomnienia dlatego, że i pruszkowianie mieli okazję obejrzeć u siebie na miejscu tę fabryczną historię walki starego z nowym, wprowadzie tylko w amatorskiej inscenizacji; *Brygadę szlifierza Karhana* wystawiło w 1950 roku koło teatralne Liceum im. Zana.

ZARZĄD MIEJSKI
w PRUSZKOWIE

Nr. 3/204/3

OGŁOSZENIE

Zarząd Miejski m. Pruszkowa podaje niniejszym do publicznej wiadomości, że Biblioteka Miejska im. H. Sienkiewicza w Pruszkowie, przy ul. Kościuszki Nr 43, zostaje uruchomiona z dniem 9 IV.1945 r.

W związku z powyższym byli czytelnicy, posiadający wypożyczone książki, jak również przygodni posiadacze książek z miejskiego księgozbioru bibliotecznego, proszeni są o zwrot wyżej wspomnianych do lokalu Biblioteki.

Biblioteka czynna codziennie, oprócz niedziel i świąt, od godz. 10-ej do 16-ej; soboty od godz. 10-ej do 15-ej.

Prezydent Miasta
(-) St. Witkowski

Pruszków, dnia 7.IV.1945 r.



Krzysztof Gosztyła

Jak Burczybrzuszek Śmiałkiem został

(Bajka o Złotej Kaczce)



Foto - Mirosław Kalinowski

Kontynuujemy publikację w odcinkach bajki dla małych i dużych dzieci, autorstwa znanego aktora teatralnego, filmowego oraz radiowego, Krzysztofa Gosztyły.

III
Gdy otwierał, Józio w garści
Pajdę chleba miał przy ustach.
Gdy je zamknął, Andzia patrzy,
Garstka Józia nagle pusta.

Tylko gęba mu się śmieje,
Strzela wokół dziwnym wzrokiem.
(Już wiedziała, co się dzieje)
Poszła sprzątać szybkim krokiem.

Józio zmacał chleb w kieszeni
- Bo go kieszeni schował -
Miotłę wziął, co stała w sieni
I zaśpiewał takie słowa:

*Szewską dratwę wsuwam w szydło
Palcem wprawiam w szybki bieg.
Tak jak Andzia nitką z igłą
Kładę równy ścieg.
Majster Grzela mnie nauczył,
Jak cholewki zszywać mam.
Lecz bym cały but uszyć,
Nie potrafię sam.*

„Józio! Przynieś wody z beczki.
Tej, co stoi pode gruszą.
Tylko nie rusz mi gruszczeni!
jeszcze z miesiąc dojrzeć muszą”.
„Dobrze Andziu, daj wiaderko,
Zaraz wodę ci naniosę”.
I wróć szybko”. – W twarz jej zerknął,
Wsunął buty stopy bosc.

*Jestem Józio Burczybrzuszek,
- Brzuch mi ciągle marsza gra.
Niechby dziesięć słodkich gruszek,
połknąłbym raz - dwa.*

*Cały kosz z ciężkości wkleśły
A w nim gruszki ze sto dwie,
Aż by mi się uszy trzęsły,
Tak bym wcinął je.*

Ale zaraz chęć mu przeszła,
Bo nad beczką sięgnął w górę.
Sprawdził: „Twarde jak podeszwa
I zielone jak ogórek”.

Gdy sprzątnęli dom w połowie,
Andzia mówi tak do Józia:
„Złotą kaczkę masz wciąż w głowie?
Widzę - śmieję ci się buzię.

Ale tatko rzekł nam cosik
I to ładnie powiedzieli:
Że się sam z zgubą prosz,
Kto radością się nie dzieli.

„O czym dumasz? – „Ja? Tak sobie...,
Że naostrzyć muszę noże”.
„Nie chcesz mówić, to ja powiem:
W lochach wnet się zgubić możesz.

Ja bym wzięła w grubym motku
Swoją kordonek i po trochu
Rozwijając, będąc w środku,
A zwińjąc, wyszła z lochu.

Bohatera tak zbawiła
Labiryntu – Aryjadna.
Jeszcze mama mi mówiła
I że była bardzo ładna”.

„Dobra myśl. Pomoże komuś,
Ale mnie to na co, po co?
Jeszcze - Józio rzekł- pół domu
Muszę sprzątnąć przed północą”.

„Jak tam sobie chcesz... - odrzekła -
Chyba raźniej jest we dwoje.
A ja bym ci...” - i uciekła,
By zmiatać przedpokoje.

IV
A gdy Andzia smacznie spała,
Majster z kupcem wiódł dysputy,
Józio wstał, by nie skrzypiła
Żadna deska, ściągnął buty.

I powoli, cichusieńko
- Jak po linie linoskoczek -
Bosy się do sieni przemknął,
Wyszedł na dwór, przetarł oczy,

Spojrzał w górę, księżyc - tysek
Właśnie się za chmury schował.
Zaraz jednak znowu wyszedł,
Ale inny, jakby głowa...

Majstra! Co na Józia zerka
I tak mówi: „Sam się prosisz?”.
Coś, jak Majstra twarz z lusterka,
Sroży oko, brew unosi...!

Zadrzał Szewczyk z wielkiej trwogi
I miał gadać z ową głową,
Wziął czym prędzej zapas nogi
W górę pobiegł, przez Mostową, Przez Barba-
kan, Stary Rynek,
Plac Zamkowy i Krakowskie, Dobiegł
Józio w pół godziny,
Aż na wzgórze Dynasowskie.

Stamtąd widział już Zamczysko, Zwo-
nił nieco, podniósł oczy.
Księżyc wisił całkiem nisko Uśmiech-
nięty i uroczy.

Jakby nigdy nie był inny,
Jakby zawsze jasno świecił,
Tak pogodny i niewinny,
Jak są tylko śpiące dzieci.

„Czy mi tylko się zdawało
To co majster rzekł nade mną?
E, to pewnie w brzuchu grało”.
- Ruszył dalej w nocy ciemną.

I choć - z braku animuszu -
Nie śmiał Józio pełnym głosem,
Zaczął nucić dla swych uszu
Wesołego coś pod nosem:

*Jestem Józio Burczybrzuszek,
Brzuch mi ciągle marsza gra.
Złotą Kaczkę znaleźć muszę,
Ckoćby była zła.
Bo kto głodny, ten zły czasem,
Ale gdy ma pełen brzuch,
Gdy popuści dziurkę w pasie,
Dobry z niego druh.*

*Choć zakłęta to królowna
- Jak powiedział Majster Grześ -
Kaczka nie jest przecież z drewna,
Muszę też coś jeść.
Jak ją znajdę dam jej chleba,
Com ze stołu Majstra wziął,
Pewnie głodna, więc potrzeba,
Bym odnalazł ją.*

V
Rychło znał się w zamczysku
I po skarpy stromym stoku,

Ostrożniutko, jak po rżysku,
Zaczął zsuwać się na boku.

Nogą macał każde drzewo,
Kępę trawy, ostu liście,
Wspierał prawą, potem lewą,
Wspierał stracił grunt zupełną rękę
Spuszczał niżej zamasyżycie,

Nagle stracił grunt zupełnie.
Ręką chwycił się leszczyny.
Dobrze choć, że mimo pełni
Nikt nie widział jego miny.

Bo zestrachał się nie lada
- Każdy w sercu czułby trwogę,
(Gdy się w taką jamę wpada,
Można przecież złamać nogę!).

Czarna dziura ziała w ziemi,
Ciemna, ze choć wykol oko.
„Czyżby wejście do podziemi?”.
- Józio zaśmiał się szeroko.

I choć jeszcze w traf nie wierzył,
Jął gramolić się po trochu
Aż tu - chmara nietoperzy
Wyfrunęła z głębi lochu.

Cofnął się od potu lepki,
Z twarzy zniknął mu uśmiešek:
„Taka ciemność nie przelewki.
Lepiej w lampce ognia skrzese”.

Wszedł do lochu i po chwili
Ujrzał schody w dół wiodące.
Nisko z lampką się pochylił,
A tych schodów... są tysiące!

Te na ukos, tamte proste,
Jedne w lewo, drugie w prawo,
I nad nimi - niby mostem -
Idą inne w łuk, krzywawo.

A tak gęsto się splatały
- Nie chcąc się z drugimi spotkać -
Jakby się tu poplątały
Sznurówadła w damskich botkach.

Zamarł szewczyk w niepewności;
Schodów gęstwa, w uszach głośza,
Tylko z dołu, z odległości
Coś się chyba pluszcze rusza.

Chrząknął z nerwów, otarł usta,
Spytał - „Kto tam?” - głucha cisza.
Jakby głębia była pusta,
Jakby nikt go nie usłyszał.

Po czym coś się roześmiało,
Echem dudniąc: „O tam! O tam!”.
Basem mu odpowiedziało,
Jak olbrzymi hipopotam.

Poczuł ciarki: „Trudna rada.
Jest ktoś, nie ma, nic nie zmienia.
Wracać teraz? Nie wypada”.
Więc się zabrał do schodzenia.

A, że schodów było mnóstwo,
Ślisko, zimno niczym w grobie
(By się rozgrzać i nie usnąć)
Zaczął podśpiewywać sobie:

C.D.N.



Książki na wrzesień

Adam St. Trąbiński - dziennikarz, publicysta



Paul Scraton
Dookoła
Pieszko po obrzeżach Berlina

PIESZO DOOKOŁA BERLINA

Gdy wypatrzyłem ten tytuł w jakiejś księgarni natychmiast kupiłem, choć wydawca nie zwraca mi takich wydatków. Zapewne gdybym nie jeździł przez minione 30 lat do tego miasta i robiłbym licznych wycieczek poza, przeszedłbym obok tytułu obojętnie. Autor Paul Scraton – Anglik, który 15 lat temu

popętnił małżeństwo z obywatelką byłej NRD, dziennikarz radiowy wielu stacji BBC, także niemieckich, pewnego razu po wielu piwach w knajpie na Kreuzbergu wpadł na taki pomysł. Swą pieszą wędrówkę wokół miasta, jakie dobrze już poznał, rozpoczął w końcu stycznia 2017 i trwała ona etapami (w każdy weekend) dwa miesiące.

Ha! Scraton pieszą przygodę rozpoczął od promenady Greenwich na Alt Tegel, co najmniej kilometrowego spaceru nad jeziorem o tej samej nazwie, bo od Wedding, gdzie mieszka to kilka przystanków U6. Tak się składa, że przez 15 lat mieszkam dosłownie kilkaset metrów od tej promenady podczas pobytów na IFA. A okolice jeziora zjeździłem rowerem wielokrotnie. Rzecz w tym, że trasa autora parokrotnie pokryła się z moimi wędrówkami, więc była okazja do porównań. Po opisanu dawnego portu w Tegel i szkicu historycznego kiedyś osady (bez uwzględnienia fabryki parowozów Artura Borsiga) i oddaniu czci rodzinie Humboltów (o czym już zapominałem!) oraz nawiedzeniu zabytkowego dębu Dicke Marie poprzez Hermsdorf ruszył Scraton w kierunku północnym z grubszą trzymając się dawnego muru/zasieków pomiędzy NRD a Berlinem Zach. Wybrał wędrówkę wzdłuż granicznego z Brandenburgią strumienia Tegeler Fließ aż przez osady Lübras i Blankenfelde po drodze mijając liczne dawne wyrobiska torfu lub gliny (teraz jeziora) i docierając drugiego dnia do nowych enerdowskich osiedli przy Ringu A10. Autor do każdego odcinka przygotowywał się w domu, w drodze korzystał z map i sporadycznie GoogleMaps. Ja nie chcąc być gorszy korzystałem z map tych ostatnich i starego 1997/98 atlasu drogowego Niemiec (niestety dziesiątki dokładnych mam „zakopane” w archiwalnych skrzyniach, a jeżdżąc do Berlina posługiwałem się pamięcią lub mapami na stacjach kolei). Otóż Scraton jest bystrzym i przygotowanym obserwatorem, oprócz obiektów material-

nych podziwia przyrodę, widoki, wdaje się w rozmowy z napotkanymi mieszkańcami. I nie ujdą jego uwadze nawet woreczki ze śmieciami podrzucone w zagajnikach. Idąc, a raczej przecinając osiedla Wartenberg i Malchow, autor snuje rozważania nad rozwojem wielkiego Berlina. Otóż w 1848 r. miasto miało 400 tys. mieszkańców – w 1877 już 1 milion, a w r. 1905 – 2 miliony. Jeszcze w połowie XIX w. zatrudniono urbanistę Jamesa Hobrecha, który zaplanował miasto na 12 dzielnic, włączając okoliczne osady połączone drogami i kolejkami z centrum. Każda z dzielnic miała swój samorząd i infrastrukturę – woda i ścieki. Ustawowo wielki Berlin powstał dopiero w 1920 r. Aktualnie podziwia (normalni turyści się tutaj nie zapuszczają) wielkie blokowiska po zachodniej stronie (muru): Gropiusstadt, Falkenhagener Feld, Märkisches Viertel czy enerdowskie Marzahn lub Hellersdorf. Bo przecież 10% mieszkańców miasta mieszka raptem w 6 wielkich blokowiskach, czego kilkudniowi turyści nie wiedzą.

Trzeci dzień wędrówki wiódł autora z Marzahn szeroką Aleją Marksa (ponoć lokalnych nazw się nie tłumaczy, ale niech tam) wśród blokowisk na dalekie południe, do Köpenick. Nim tam dotarł zastanawiał się nad osiedlami dla Sinti i Romów wysiedlonymi tutaj w roku Olimpiady 1936, nie było po nich śladu, oprócz niewielkiego pomnika przy stacji S-Bhanu przy Raoul-Wallenberg Straße. Nim doliną strumyka Wuhle pokonał wiele km przeszedł przez dawną wieś Biesdorf – tu przytoczył historię zakładu dla epileptyków, jacy polegli w ramach „higieny rasowej” narodu niemieckiego. Wspomnianą, jednak olbrzymią dzielnicę rzek, jezior i lasów – Köpenick pokonuje jednym skokiem (nie rozwódzając się nad historią dzielnego szewca, którego teraz wszyscy gładzą po nosie na szczęście) zatrzymując się na dwa dni w przy lotniskowym automatycznym mo-

telu. Po błądzeniu w okolicach nowego Schönefelde i rozważań nad blokowiskiem biedy Kosmosviertel, i opuszczeniem osiedla Rudow autor wraca na szlak dawnego muru, bo od strony północnej był Berlin Zach. a od południa enerdowska Brandenburgia. Tu przytacza podstawowe dane: mur sukcesywnie umacniany (też system zasieków) miał dookoła Berlina Zach. (w l. 1961-1989) 160 km i pochłonął życie 136 osób – śmiałków jacy wybierali wolność. Te miejsca zaznaczone są odpowiednimi żółtymi drogowskazami oznaczonymi tablicami z historią zdarzenia.

Ale zatrzymajmy się na chwilę w mieście Gropiusa, przy 31 piętrowym wieżowcu osiedla – władze obu części miały ten sam problem, zrujnowane dawne dzielnice w wyniku działań Armii Czerwonej – zaniebane, stare centrum bez wygód i stały przyrost mieszkańców po obu stronach muru wymuszały budowę blokowisk na skutek też braku terenów pod zabudowę. Chwile potem przez Buckow dociera do Teltow (teltow-rübchen – teltowskie rzepki uprawiane w piaszczystym gruncie) oraz przez Lichtenrade do Marienfelde. W tym ostatnim był słynny ośrodek przejściowy dla azylantów – ostatnio kilkadziesiąt tysięcy uchodźców w l. 2015-2016. Ciekawostką, do obejrzenia której zachęcam jest japońska aleja wiśni wzdłuż pasa granicznego – wiśnie za 1 mln dolarów za akcję w tv japońskiej w wyniku połączenia miasta. Czy ostatecznie teren ćwiczeń aliantów – Parks Range założony w 1953. I za chwile jesteśmy na granicy miasta z Poczdamem – nad jez. Griebnitz po południowej stronie, gdzie możemy obejrzeć trzy wille: Stalina, Trumana i Churchilla (czego nie pokazali mi berlińscy przyjaciele) z okresu konferencji. Tutaj teren obfituje w kilka enklaw – enerdowskich i odwrotnie Berlina zach. po obu stronach dawnego muru. Także miejsce ucieczek. Scraton promem przenosi się przez jez. Wansee i przez Gatow (połówkowe brytyjskie lotnisko wojskowe) dociera do Spandau, jakiej to niewiele poświęca miejsca. Jest już wiosna, otwierają się lodziarnie nad Tegel i ptaki krzyczą donośnie.

Paul Scraton DOOKOŁA. PIESZO PO OBRZEŻACH BERLINA wyd. Czarne 2023; str. 230; ilustracje; oprawa miękka; bibliografia i indeks przypisów; cena 42,90 zł. Także jako e-book w formatach EPUB i MOBI

RZYM I JERUZOLIMA

Nie recenzujemy czy też omawiamy a jedynie zachęcamy do lektury latem opasłych tomów pióra prof. Aleksandra Krawczuka (1922-2023), znawcę starożytności, pisarza – popularyzatora antyku. Profesora Uniwersytetu Jagiellońskiego i swego czasu ministra kultury i sztuki (1986-1989). Oba tomy (jako trylogie) ukazały się więcej, jak ćwierć wieku temu nakładem Iskier i teraz zostały wznowione (z dawnych klisz). Tom „Rzym i Jeruzolima” (Herod, król Judei; Tytus i Berenika oraz Rzym i Jeruzolima) obejmuje jeden z najważniejszych i bardzo dramatyczny okres Rzymu, Judei i chrześcijaństwa – od 63 roku p.n.e. do lat 70 n.e. W formie beletrystycznej uzupełnionej przypisami wejdzimy w ten okres.

Aleksander Krawczuk RZYM I JERUZOLIMA Wyd. Iskry 2023, str. 632, bez ilustracji; chronologia najważniejszych wydarzeń i dokładny spis rozdziałów; oprawa twarda + obwoluta; cena okładowa 64,90 zł.

REKLAMA

KLIMATYZACJA

AUTO SERWIS TIMONCAR

NOWY CZYNNIK R - 1234yf oraz R - 134a



+48 533 607 605

**RZYM KOŚCIÓŁ, CESARZE**

Ten tom ukazał się także nakładem Iskier w 2000 roku (jako trylogia: Konstantyn Wielki, Ród Konstantyna i Julian Apostata) i obejmuje dzieje raptem 80 lat – od roku 284 do 363 n.e. To krótki zasadniczo okres, ale istotny głównie dla świata chrześcijańskiego – religia ta stała się panującą wychodząc spod prześladowań. Kościół co prawda nabrał siły, ale nie przestał być targany sprzecznościami czy też herezjami. Drugą stolicą Imperium stało się miasto o nazwie Konstantynopol (d. Bizancjum) a cesarstwo zmieniło formułę polityczną – stało się dominantą z nowym systemem administracji i nową strukturą armii. Prof. Krawczuk mniej stosuje beletrystyki a więcej opisów realistycznych w swych krótkich rozdziałach. Oba tomy polecamy, nie tylko znawcom czy sympatykom tych okresów.

Aleksander Krawczuk RZYM KOŚCIÓŁ, CESARZE wyd. Iskry 2023, str. 732, bez ilustracji; chronologia najważniejszych wydarzeń i dokładny spis rozdziałów; oprawa twarda + obwoluta; cena okładkowa 64,90 zł.



Płyta na wrzesień

Adam St. Trąbiński - dziennikarz, publicysta

**CHOPIN I FLAMENCO**

Wydający interesujące płyty NIFC sięgnął do swych przepastnych archiwaliów i niedawno opublikował krążek CD w wersji „lux” pt. CHOPIN AND FLAMENCO w wykonaniu słynnego Paco Peñy i jego Falmenco Company. Mówię o przepastnych zasobach NIFC bowiem od wielu lat Instytut regularnie rejestruje swoje koncerty. Gorzej ma się sprawa publikacji płytowych bowiem trzeba mieć zgodę wykonawcy a ci z reguły związani są kontraktami z wielkimi wytwórniami płytowymi. I tak to było z nagraniami profesora i dyrektora festiwalu flamenco Paco Peñy – trzeba było czekać 13 lat na „ujawnienie” na nośniku jego koncertu jaki miał miejsce na Festiwalu „Chopin i jego Europa” jeszcze 11 sierpnia 2010 r. W tytule mamy Chopina i muzykę flamenco – powstaje pytanie o związki a to wydawcy obszerne wyjaśniają w książeczce dołączonej do nagrań.

Ja zaś sięgnę do wspomnień... Przed wielu laty jeżdżąc na frankfurckie Targi MuzikMesse gdzieś w przejeździe z hali do hali spotkałem Janusza Popławskiego (m.in. Niebiesko-Czarni), wtedy szefa dużego gdańskiego wydawnictwa muzycznego. Po kilku zdaniach rozmowy zeszła ona na flamenco; Janusz otworzył mi oczy – słuchaj jadę wkrótce i to po raz czwarty do Andaluzji do wsi (tu padła jej nazwa). Na pytanie, dlaczego tam, odparł: słuchaj nie jednego kierunku flamenco – w każdej wsi/osadzie grają go inaczej, zupełnie inaczej... Godzina rozmowy na takich targach, ale nie żałuję bynajmniej, jak mawiał poeta.

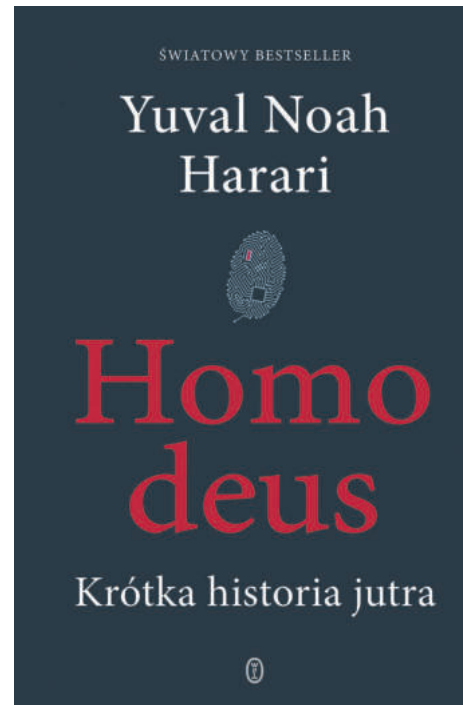
Na omawianej płycie trzy pierwsze w kolejności utwory: „Granaina”, „Petenera” i długie „Fandango” to typowe komponowane flamenco. Natomiast pozostałych pięć zaznacza swe związki z muzyką Chopina. Różnej długości (służą ponadto jako tło dla grupy tanecznej) zawierają motywy: „Farruca” z walca w tonacji a-moll op.34, nr 2; „Zapateado” motywy Mazurka D-dur, op.33 nr 3; „Alegría” z wykorzystaniem Nokturnu Es-dur, op.9, nr 2 oraz „Soléa” fragmentów walca cis-moll op. 64 nr. 2 i „Jaleos (Alborea) fragmentów Poloneza A-dur op.40. nr 1. Wyciągnięte maksymalnie – dwa ostatnie utwory do minut kilkunastu każdy – wzbudziły entuzjazm widzów, poparte nadto charakterystycznym tańcem (na specjalnie zbudowanej estradzie) i śpiewem Sary Danez.

Książka na wrzesień

Tomasz Długosz-Trąbiński - publicysta

HOMO DEUS HARARI

Na naszych oczach w rozmaitych mediach i gremiach oraz środowiskach Yuval Noah Harari kreowany jest na autorytet



„od wszystkiego”. Jego wypowiedzi są cytowane jako genialne bez względu na to czy dotyczą pandemii, wojny na Ukrainie, globalnego ocieplenia, agendy LGBT, religii czy przyszłości świata.

KRÓTKA HISTORIA JUTRA

Jego książki polecają takie osoby jak Mark Zuckerberg czy Bill Gates, a premier Mateusz Morawiecki był zaszczycony, głosił peany na cześć swojego gościa, który też jak Mateusz Morawiecki jest uczniem Klausa Schwaba dowodzącego World Economic Forum, że mógł sobie zrobić z nim zdjęcie podczas imprezy Impact'22 oraz uściśnąć mu rękę, której nie mył przez miesiąc... Premier jest wielkim zwolennikiem tego mętnego pseudofilozofa wizjonera. W swoich publikacjach ten pseudo wizjoner głosi przyszłość opartą na przejęciu ludzkości do nowej formy istnienia – swego rodzaju nadczłowieka. Jego zdaniem technologia pozwoli bowiem na wyniesienie ludzi na poziom znanych z mitologii greckich bóstw. Izraelczyk głosi także nadejście nowych religii, takich jak technohumanizm (udoskonalanie człowieka przez technikę) i dataizm (kult informacji). Twierdzi, że wolna wola, niepodzielna jaźń czy nieśmiertelna dusza nie istnieją, co jego zdaniem wynika z badań naukowych. Książka Yuvala Noaha Harari „Homo deus krótka historia jutra” to pisana z ogromnym rozmachem wizja sięgająca od pradziejów ludzkości, aż po odległą przyszłość. Dzieło Noaha Harariego jest zakrojone na niezwykle szeroką skalę, a jednocześnie aż roi się w nim od błędów: filozoficznych, antropologicznych, a nawet naukowych. Całość podlana chaotycznym sosem. We wstępie Noah Harari nakreśla optymistyczną według siebie wizję współczesności. Wychwala uwalnianie się ludzkości od głodu i przemocy. Zauważa, że w dawnych społecznościach rolniczych użycie siły powodowało 15 procent zgnow. Tymczasem obecnie to „jedynie” około 1 procenta. Co więcej, poważniejszym problemem niż głód i zaraza staje się obecnie nadwaga. Ponadto, zdaniem autora „Homo Deus”, obecnie nie ma też mowy o wybuchu poważnego konfliktu zbrojnego. Owa sielska wizja naszego świata kłóci się częściowo z faktami i opiniami naukowców. Zdaniem amerykańskich ekspertów od energii atomowej znajdujemy się obecnie bliżej atomowej apokalipsy niż pod koniec zimnej wojny. Nie to stanowi jednak klucz przesłania Noaha Harariego i nie ta nieznajomość faktów najbardziej bulwersuje.

DWA NAKAZY RELIGII DNYCH

Wedle autora „Homo Deus” istnieją (czy też zaistnieją) dwa nakazy religii danych. Po pierwsze należy zwiększać do maksimum przepływ informacji. Można to uczynić dzięki badaniu DNA w celu poznania przodków wiele pokoleń wstecz, noszeniu urządzenia biometrycznego mierzącego tętno i ciśnienie, a także dzieleniu się całym życiem z Facebookiem i Googlem. W nagrodę

„świetne algorytmy internetu wszystkich rzeczy powiedzą ci, kogo poślubić, jaką ścieżkę kariery wybrać oraz czy rozpocząć wojnę”.

Zarówno transhumanizm (czy też technohumanizm), jak i dataizm okazują się więc bałwochwalstwem. Pierwszy ubóstwia nadczłowieka, drugi zaś panteistyczny system danych. Jednak jeden i drugi okazuje się wrogiem normalnych przedstawicieli homo sapiens, a więc ludzi stworzonych na obraz Boga. Obydwa dążą do osiągnięcia pożądanego, ostatecznego stanu wszechświata, bez Boga, a de facto wbrew Niemu. Moim zdaniem Harari zawdzięcza ten wielki sukces nie merytorycznej zawartości swoich książek, a wręcz przeciwnie, dzięki jej brakowi! W swojej trylogii stworzył opowieść, która ma pełnić rolę mitu dla świata po Wielkim Resecie. To Mit XXI a nawet XXII wieku. Mit, który ma zastąpić wszystko to, co stworzyła cywilizacja grecka, rzymska i chrześcijaństwo, a w co ludzie mają bezkrytycznie uwierzyć. Mitu takiego potrzebuje kasta miliarderów, która dąży do stworzenia

społeczeństwa niezdolnego do buntu, choćby z racji narastających nierówności społecznych. Jeśli ludzie uwierzą w spisana przez Harariego opowieść, to obudzą się w takim właśnie świecie. W świecie, w którym garstka właścicieli globalnych korporacji przejmie kontrolę nie tylko nad całą własnością i władzą polityczną na naszej planecie, ale także nad ludzkimi ciałami i umysłami. Naukowcy słusznie uważają Harariego za dyktanta i dlatego go ignorują. Moim zdaniem to duży błąd. Bajek pisanych przez naczelnego ideologa III Rzeszy Alfreda Rosenberga, autora książki „Mit XX wieku”, też nikt nie traktował poważnie. Historycy filozofii bojkotowali tę książkę w okresie międzywojennym i odmawiają omawiania jej po dziś dzień. Mimo to, w imię współtworzonej przez niego „narracji” wymordowano wiele milionów ludzi. Przemoc udaje naukowość i dlatego trzeba zawczasu demaskować szatki, w które się ubiera jako mity, podszywające się tylko pod naukę. Dlatego też musiała w końcu powstać książka – pierwsza w wielojęzycznej literaturze światowej – która na poważnie rozprawia się z opowieścią Harariego. Ciekawe że ci, którzy go promują naprawdę chcą pogrzebać ludzki świat i wprowadzić nas w erę rządów super bogatych Nadludzi, czyli „homo deus”. I to nie jest bajka, to się dzieje naprawdę. Nie lekceważmy Harariego i ludzi, którzy za nim stoją, gdyż za naszą bierność zapłacimy bardzo wysoką cenę. Pozbawia nas nawet prawa do bycia człowiekiem. Ale fakty nie mają znaczenia dla Harariego. Posługuje się sprawdzoną metodą lewicowo-liberalną, nawet teraz globalistyczną: wymyśla coś o swoim przeciwniku, a potem ostro go krytykuje. Premier Mateusz Morawiecki jest zachwycony Hararim i jego pseudo teoriami i metodą. Ale ta metoda – powiedzmy to od razu – jest poza charakterem. I ogólnie argument Harariego za tym, żeby nie trzymać się z daleka od rzeczy wymyślonych, wyprodukowanych, stworzonych itp. w innych krajach od wartości, przedmiotów i tradycji, graniczy to niemal ze śmiesznością. Harari twierdzi, że jeśli jakiś kraj nie otwiera swoich granic dla „migrantów”, to jest to równoznaczne z zamknięciem się na wszystko, co przychodzi z zewnątrz. Twierdzi, że pomysł, że kraj może odciąć się od reszty ludzkości, jest absurdalny, ponieważ jest to bardzo, bardzo biedna i niemożliwa rzecz do zrobienia. Tak, ale jest to skok logiczny, na który historycy i naukowcy nie może sobie pozwolić. Co to ma wspólnego z tym, że kraj zamyka swoje granice nie dla prawdziwych uchodźców, ale dla nielegalnych migrantów, więc działa legalnie i chroni swój kraj (w oparciu o międzynarodowe konwencje!), z tym, że kraj zamyka swoje drzwi do wszystkiego, co pochodzi z zagranicy? Co ma wspólnego fakt, że rząd nie chce, aby jego kraj był masowo najeżdżany przez ludy innych kultur, religii i obyczajów, wśród których mogą się ukrywać nawet ludzie o złych intencjach, z tym, że szanujemy, doceniamy i akceptujemy inne kultury i religie, a czasem bierzemy od nich dobre wzorce, a nawet przyzwyczajenia?

Obydwie religie przyszłości, wbrew swojej postępowej otoczki, okazują się więc tylko nowymi wcieleniami starych błędów. To obrzydliwa mikstura grozy i pogaństwa w ładnym opakowaniu. Smutne...

Źródło: Yuval Noah Harari „Homo deus. Krótka historia jutra” Tłumaczenie Michał Romanek. Kraków 2018. Wydawnictwo Literackie.



Jest takie miejsce, taki kraj



Barbara Gajo - publicystka
Foto - Pixia

„Jesteśmy wolnym narodem i nikt nie ma prawa nami tak rządzić byśmy czuli się upokorzeni. My, kobiety wyniosłyśmy z powstania coś bezcennego: smak wolności i równości”.
Wanda Traczyk-Stawska



Pamięć naszych dziejów przekazywana pokoleniom tworzy tożsamość obywatelską, świadczy o kulturze i szanowaniu przeszłości. Wszystkie nasze powstańcze zrywy wyływały z poczucia umiłowania wolności.

Nie powinno się przeinaczać faktów, dzielić społeczeństwa na lepszych i gorszych, manipulować nim w imię brudnej (kreatywnej?) polityki.

Naród, ojczyzna, miejsce urodzenia, honor, bogactwo języka: To z domu i ze szkoły wynosiliśmy te wartości. Dlatego łatwiej było zrozumieć romantyków i bojowników, których trawiła nostalgia i żal na wygnaniu za utraconym krajem. „Że nie wiem, gdzie się w mogiłę położyć. Smutno mi Boże! (JS).

U Konopnickiej zaś dom i ojczyzna nierozdzielnie łączy się z wolnością.

„Nie rzucim ziemi skąd nasz ród...Twierdzą nam będzie każdy próg”.

W wymiarze malarskim ojczyzna to matka, macierzyństwo – tak przedstawia na obrazie Jacek Malczewski, czy współcześnie – Witold Marczewski w artystycznej wizji: Wołyńska Pieta w Chełmie.

Jednak ojczyzna to też Patria (jak willa J. Kiepury w Krynicy). Pater, patriarchat to usankcjonowane przez wieki prawo ojca do odpowiedzialności za rodzinę. Trzeba o nią dbać, kochać ją, dla niej się trudzić. „Miłe bliźny dla Ojczyzny”. A niektórych współczesne myślenie: „Ojczyznę dojną podaruj nam Panie”?

Stanisław Ossowski: Ojczyzna to nie punkt na mapie, to pewna zbiorowość, która zabiega o dobro wspólne i kształtuje odpowiedni obraz swego kraju.



80 lat temu po raz pierwszy na ulicach Warszawy pojawiła się „kotwica” – symbol Polski Walczącej/Muzeum Powstania Warszawskiego

„Jest taki kraj u zbiegu dróg, gdzie się spotyka z Zachodem Wschód.

Dopomóż Boże i wytrwać daj! To nasze miejsce, to nasz kraj” śpiewa Marta Bizoń w Piwnicy pod Baranami a Jan Paweł II był spoiwem duchowym Wschodu z Zachodem.

Polska stała się przybraną matką dla Wita Stwosza, którego kunszt rzeźbiarski podziwiamy do dziś. Niemiec nie czuł się nigdzie tak dobrze jak w Krakowie. Ojciec Michała Elwiro Andriolliego pozostał u nas po kampanii napoleońskiej. Michał mnożył dorobek malując obrazy, projektując wille otwoczek po obu brzegach Świdra. „Pan Tadeusz” zaś z ilustracjami Andriolliego jest rarytasem, pilnie poszukiwanym przez bibliofilów. Grób artysty znajduje się w Nałęczowie.

Chlubą Polaków jest oczywiście Fryderyk Chopin i jego nieprzemijający geniusz muzyczno-kompozytorski. Wzrusza mnie scena w filmie Jerzego Antczaka. Siostra artysty wraca z Paryża po pogrzebie brata. Na granicy moskal pyta czy jest coś do oclenia. Nie, nic, a pod krynoliną schowane serce Fryderyka. Ruski dziwi się: **Jak to, a majątek? Brat nic nie zostawił? Nic?**

Jak każdy kraj Polska ma swoje symbole narodowe. Znak Orła wywodzi się ze zwyczaju malowania symboli na rycerskich tarczach. Już denary Bolesława Chrobrego zawierały na awersie „nieporadne” godło Orła. W XII w. Wł. Herman walczył „pod Znakiem Orła Zwycię-

skiego – symbolu królewskiej dostojności.” W powstaniu warszawskim pseudo Orła Białego przybrał łącznik z białą-czerwoną opaską na prawym ramieniu. Jedenastoletni Wojtek Zalewski zginął od kuli snajpera niosąc meldunek dowódcy ze zgrupowania Chrobry II. Nie odnaleziono ciała, uwieczniony symbolicznie.

Białą-czerwoną flagą wzrusza nas, gdy wciągana jest na maszt, gdy łopocze jako bandera na statkach, albo w postaci szachownicy pojawia się na skrzydłach samolotu. Straszne to uczucie, gdy „bajec” drze ją na onuce na przedpolach stolicy (1920 r.). Dobrem narodowym jest Mazurek Dąbrowskiego napisany w obozie tworzących się Legionów w Reggio, a grany do dziś w czasie świąt państwowych, na mistrzostwach sportowych i wydarzeniach wojskowych.

Inny symbol. Znak, który nie istniał w powojennej wydanej encyklopedii. Wymazany ze zbiorowej pamięci żył jednostkowymi wspomnieniami. Ten atrybut przekazu dla wtajemniczonych doczekał się przywrócenia Mu odpowiedniej rangi. W czasie okupacji powszechnie malowany na murach i budynkach przez harcerzy SS - Szare Szeregi (dezinformacja).

Jak zrodziła się Kotwica – stylizowany Znak Polski Walczącej?

Biuro AK wyłoniło w drodze konkursu najlepszy pomysł „Hanki”. Była to córka prof. K.

Smoleńskiego, będącego również w konspiracji. Najlepszy znak, bo prosty i łatwy do pomalowania trzema ruchami pędzla. Najlepszy, bo z ważkim w treści komunikatem. Znak Polski Walczącej podtrzymywał nadzieję, krzepił serca okupowanych Polaków, a przez Niemców był tępiący.

W 1994 r. metalową kotwicę o wysokości 14m. zatknęto na Kopcu Czerniakowskim. Natomiast Ustawa Sejmowa z 10 czerwca 20014. stanowi iż „Znak Polski Walczącej w formie kotwicy jest symbolem walki z niemieckim agresorem, stanowi dobro ogólnonarodowe i podlega ochronie. Znieważanie podlega karze”. W 70 rocznicę powstania prezydent Bronisław Komorowski ogłosił ten dokument w obecności powstańców w parku na Woli. Dodam iż środowisko powstańcze kategorycznie protestuje przeciwko zawłaszczaniu Znak Polski Walczącej przez współczesnych polityków, albo kogoś innego..

Ten szczególny znak kotwicy to metafora, że niemożliwe jest możliwe. Malowali ją na murach z narażaniem życia szczególnie patrioci o szlachetnych ideałach w szczególnych czasach. W takim sensie Duch Narodu przetrwał już tylko w symbolach. A powinowactwo wartości, wierność im? Kto to wie?

Kotylion – białą-czerwoną rozetą. Rodowód

Białą czerwoną kolistą symbol patriotyzmu pojawił się na ubraniach powstańców listopadowych, powst. wielkopolskich. Zarówno kolor jak i kształt uznał sejm w 1980r. i ustalił: w środku czerwień, bo to tło dla Godła, a na zewnątrz biel. Przypinamy jest szczególnie w Święto Flagi i Niepodległości.

23 sierpnia 2023 r. Barbara Gajo



„Kotwica” – symbol Polski Walczącej namalowana na pomniku Żwirko i Wigury w Warszawie/Muzeum Powstania Warszawskiego





Miasteczko Barry's Bay i okolice



Tulia Marynowska - Rybczyńska, portret olejny pędzla Kuby Bryzgałskiego.

Tekst & foto - Julitta Rybczyńska

Następną wycieczkę po Kaszubach rozbijamy na dwa etapy. Pierwszy to wyjazd samochodem z Palmer Rapids do Wilna, a drugi to wyprawa rowerowa z Combermere do Barry's Bay - opis w części trzeciej.

Palmer Rapids to osada rozciągająca się wzdłuż brzegów szerokiej rzeki Madawaska, która wypływa z jeziora Source w Parku Algonquin i kończy jako dopływ rzeki Ottawa. Rzeką w swoim przebiegu spada o 224 metry i ten bystry spadek nurtu tworzy liczne katarakty. W pobliżu takich porohów umieszcza się wiosłarska kooperatywa - Paddlers Co-Op, organizująca kursy kajakowe i kanoe, tygodniowe spływy w dół Madawaski i akrobacje na kataraktach. I to jest pierwsza atrakcja z której jest znane Palmer Rapids.



Druga to podwójny festiwal muzyki country i bluegrass (Palmer Rapids Twin Music Festival), odbywający się corocznie na brzegu rzeki, zwykle w czasie długiego weekendu na przełomie lipca i sierpnia. My szczególnie upodobałoby sobie

Część druga

muzykę bluegrass, bo wykorzystuje ona wyłącznie instrumenty strunowe. Gitara, banjo, mandolina i skrzypki, często tylko w brzmieniu akustycznym, topi swe dźwięki w poszumie Madawaski. Bluegrass wywodzi się z amerykańskich Appalachów, z lat czterdziestych ubiegłego wieku i czerpie natchnienie z tradycyjnych ballad angielskich, szkockich i irlandzkich.

Przejazd z Palmer Rapids do Wilna via Barry's Bay to około czterdziestu kilometrów, które pokonujemy samochodem.

Wilno - to ośrodek tak historii, jak i współczesności osadnictwa kaszubskiego na tych terenach. Wzdłuż traktu Opeongo osiedlali się od roku 1858 pierwsi przybysze z Kaszub (będących w tym czasie pod zaborem pruskim) i Polacy z Galicji w zaborze austriackim. Niestety przydzielone im grunty były nieurodzajne i bardzo kamieniste, w dużej mierze zalesione.

Duchowym przywódcą i organizatorem życia około trzystu nowo przybyłych był Ojciec Ludwik Dembski, pochodzący z Wilna; stąd też wywodzi się nazwa osady nadana jej przez wdzięcznych parafian. Wspólnym wysiłkiem wzniesiono w 1875 roku pierwszy kościół pod wezwaniem Św. Stanisława Kostki, a po jego utracie z powodu pożaru, kościół St. Mary - Matki Boskiej Częstochowskiej Królowej Polski. Jest to więc najstarsza w Kanadzie, prawie 150 letnia, polska parafia rzymskokatolicka.



Kościół St. Mary stoi na szczycie wzgórza, z którego roztacza się piękny widok na leżące wśród lasów dwa odległe jeziora - Round Lake i Golden Lake, wokół których są duże skupiska ludności o kaszubskich korzeniach a także przyjeżdżających tu na lato kanadyjskich Polaków. Przykościelne Koło Parafialne słynne jest w całej okolicy z corocznego bankietu „Wilno Chicken Supper”, urządzanego od 1936 roku w czasie długiego weekendu wrześniowego (Labour Day). Z Doliny Ottawa zjeżdżają goście, delektujący się pieczonymi kur-

czakami przyzgodowymi z najrozmaitszymi dodatkami i słodkimi wypiekami domowymi. Na zielonych terenach wokół kościoła przygrywają lokalne zespoły muzyczne, są gry zespołowe dla dzieci a dochód przeznaczony na potrzeby parafii (od około 2000 uczestników) dobrze zasila fundusz dla potrzebujących.

Historia i tradycje osadnictwa kaszubskiego odzwierciedlone są w drewnianym skansenie znajdującym się po północnej stronie drogi Nr 60. Jest to **muzeum etnograficzne** na wolnym powietrzu, ilustrujące życie nowych przybyszów - są tu autentyczne, dobrze zakonserwowane budynki i artefakty sięgające 150 lat wstecz. Warto się zatrzymać i obejrzeć budynek szkoły, kuźni lub typowy dom farmera z wyposażeniem w ręcznie robione meble, sprzęty kuchenne i ubrania wiszące w szafie. Jest ceramika i hafty kaszubskie, są narzędzia gospodarskie, są nawet tablice nagrobne rodzin kaszubskich. Muzeum otwarte jest w miesiącach letnich w godzinach od 11. rano do 5. po południu.



Po przeciwległej stronie szosy znajduje się historyczna **Tawerna Wilno** i Galeria Wilno Craft. Restauracja i pub Wilno mieści się w powiększonym i unowocześnionym budynku hotelu Exchange, w którym zatrzymywali się farmerzy, drwale i pracownicy okolicznych tartaków, aż do wczesnych lat dwudziestych ubiegłego wieku. Tawerna liczy więc sobie prawie sto lat nieprzerwanej obsługi klientów doceniających zalety dobrej, polskiej kuchni! Jako stałe pozycje w menu szef kuchni poleca pierogi, gołąbki, pieczoną kiełbasę z czerwoną kapustą i sznycle wieprzowe, ale są i lżejsze dania jak rozmaite sałatki, ryby i doskonałe desery. Do picia piwa beczkowe z małych, okolicznych browarów i lokalna kawa Madawaska.

We wtorki od godziny 19-tej zaczynają się wieczory bluesowe, z muzyką na żywo i tańcami. Lubimy tam chodzić z przyjaciółmi we wrześniu, kiedy to miejscowa i przyjezdna młodzież wraca do szkół i nie tłoczy się na małym parkiecie.

Tawerna jest ulubionym miejscem spotkań miejscowych artystów i podstarzałych, byłych hippisów, z których wielu to dezerterzy, uciekający przed poborem ze Stanów w czasie wojny wietnamskiej. Tu w okolicach Wilna znaleźli swoje miejsce na ziemi.

Trochę się obawiamy o dalsze losy tego unikalnego przybytku kuchni i sztuki, bo

od ponad roku jest on ogłaszany „Na Sprzedaż”. Cena 650 tysięcy dolarów.



Galeria Sztuki i Rzemiosła sąsiaduje z tawerną, szczyci się ekspozycją tylko twórców kanadyjskich, z których wielu mieszka w Dolinie Madawaski i Dolinie Ottawa. W samym rejonie Wilna jest duża kolonia artystów różnych specjalności - malarzy i rzeźbiarzy oraz rzemieślników artystycznych tworzących wyroby z gliny, drewna, tkanin oraz metaloplastyki i biżuterii. Sklep - Galeria wystawia i oferuje ich prace na sprzedaż. Właściciele, sympatyczne małżeństwo polsko-słowackie, poleca również kosmetyki naturalne oparte na wyciągu z aloesu oraz na olejkach i esencjach z kwiatów i ziół - kremy, mydła, płyny do kąpieli itp.

Wielu artystów wystawiających tu swoje prace otwiera własne pracownie zwiedzającym w czasie „Madawaska Valley Studio Tours”, które w 2023 roku przypadają na dwa weekendy: lipiec 15 - 16 i wrzesień 30, październik 1.

Osada Wilno otoczona jest łagodnymi wzgórzami, sięgającymi 350 metrów ponad poziom morza, zalesionymi sosnami i świerkami, tworzącymi specyficzny mikroklimat tego niezwykłego miejsca.



Kończymy wycieczkę do Wilna i zaczynamy zbierać siły na wyprawę rowerową, o której będzie w części trzeciej!



Początek polskiej informatyki



Prof. Andrzej Targowski - Western Michigan University (Emeritus)

Foto - autor, domena publiczna

Rozwój zastosowania technologii informacyjnych w Polsce rozpoczął się już w 1923 r. od zainstalowania maszyn na karty dziurkowane Holleritha w Poczcie Polskiej. Od 1934 r. funkcjonował oddział firmy IBM pod nazwą Polski Hollerith, który po niemieckim okupancie nazwy przystosował się do świadczenia usług niemieckiemu okupantowi. Po II wojnie światowej wielka mechanizacja przetwarzania danych gospodarczych rozwijała się w Polsce bardzo dobrze w kilku centralnych biurach rozliczeń.

Do nich należały biura rozliczeń:

- Głównego Urzędu Statystycznego (GUS), kierowane i rozwijane przez Z. Wojcieszaka, A. Pietrasieńskiego, T. Walczaka,
- Przemysłu Węglowego, kierowane i rozwijane przez A. Golinowskiego,
- Przemysłu Budowlanego, kierowane i rozwijane przez J. Zagalskiego,
- Polskich Kolei Państwowych, kierowane i rozwijane przez J. Wyrzykowskiego, a potem przez A. Wielądkę,
- Narodowego Banku Polskiego, kierowane i rozwijane przez J. Lipińskiego.

Szereg zakładów przemysłowych przodowało po 1945 r. w zastosowaniach wielkiej mechanizacji. Zwłaszcza bardzo aktywne w tym względzie były Zakłady A-10 (dawną fabryka Szpotkańskiego) w Międzyzlesiu k/Warszawy.

Gospodarka planowa doceniła potrzeby wielkiej mechanizacji przetwarzania danych, co znalazło wyraz w utworzeniu Biura Mechanizacji przy Głównym Urzędzie Statystycznym. Do zadań tego Biura należało ustalanie rozdzielników według resortów na maszyny analityczne rodziny ARITMA (typu Powers), importowane z Czechosłowacji, rodziny SAM (typu Hollerith), importowane z ZSRR i rodziny BULL (80-kolumnowe z odczytem elektrycznym) importowane z Francji.

DBANIE O ROZWÓJ MECHANIZACJI PRAC OBRACHUNKOWYCH

Pionierzy wielkiej mechanizacji dobrze dbali o rozwój swojej dziedziny, czego wyrazem było utworzenie w 1951 r., zaledwie w 6 lat po wojnie, Międzyresortowej Komisji ds. Automatyzacji i Mechanizacji Prac Obrachunkowych w gospodarce społecznej. Do 2 stycznia 1962 r. przewodniczącym tej Komisji był Adam Wang, zastępca przewodniczącego Komisji Planowania

przy Radzie Ministrów. Po nim funkcję tę przejął Tadeusz Kochanowicz, zastępca przewodniczącego Komitetu Pracy i Płac. Sekretarzem i spiritus movens tej Komisji został Jerzy Zapasiewicz – dyrektor Zakładu Organizacji i Techniki Pracy Biurowej w Ministerstwie Finansów.

W skład Komisji weszło 13 członków i 51 członków podkomisji (ogólnej, maszyn analitycznych, małej i średniej mechanizacji, płac i bodźców, krajowej produkcji, szkolenia i popularyzacji). Komisja postulowała zwiększenie zestawów maszyn analitycznych z 259 sztuk (1962) do 830 sztuk (1970), za cenę 4 mld zł obiegowych w I-szym wariantcie i 6,7 mld zł w II-gim wariantcie. Ponadto Komisja postulowała powołanie przy premierze Rady Organizacji i Techniki Biurowej o charakterze badawczo-projektowo-usługowo-szkoleniowym.

Charakterystyczne jest, że Komisja w ogóle nawet nie zasygnalizowała sprawy zastosowania komputerów w miejsce maszyn analitycznych. Podczas gdy powstawał raport końcowy tej Komisji, tj. w 1963 r. – w Polsce już obowiązywała uchwała KERM nr 400 z 11 grudnia 1961 r. w sprawie komputerów. W owym okresie specjaliści od maszyn analitycznych powątpiewali w przydatność komputerów do „prac obrachunkowych”. W USA w latach 1960. komputery serii IBM 1400 cieszyły się dużym powodzeniem, jednakże żelazna kurtyna robiła swoje, a centralnie planowana gospodarka rozkoszowała się swoją wszechmocną biurokracją, której nie miała zamiaru usprawniać.

CHAOS KONCEPCJI ROZWOJOWYCH ETO

Na początku lat 1960. wiele mówiło się i pisało o chaosie, jaki panował w koncepcjach rozwojowych ETO w Polsce. Był to już ustabilizowany okres władzy Władysława Gomułki, który po 1956 r. jednak nieco otworzył drzwi na Zachód oraz zezwolił rodakom marzyć o lepszej gospodarce w swym kraju. Rozpoczęły się wyjazdy do rodzin, a także liczne wycieczki studentów na Zachód, który je chętnie przyjmował, aby w ten sposób „rozmiękczać” blok sowiecki.

W Polsce najbardziej poczytnym pismem wśród informatyków był miesięcznik amerykański „Automation”, który publikował listy zakupowanych komputerów i ich zastosowania. Były one niezwykle długie i oddziaływały na polską wyobraźnię bardzo mocno. Prasa krajowa zmieniła ton publikacji. Zamiast pisanie o „mózgach elektronowych”, zaczęto pisać o EMC (Elektronicznych Maszynach Cyfrowych) z punktu widzenia problematyki gospodarczej. Przy czym zaczęli pisać sami informatycy [np. Andrzej Targowski, Zbigniew Gackowski. (1961), Czas produkować i stosować, Życie Warszawy, nr 53 z 3 marca]. Autorzy pisali w tym artykule: „Wprawdzie istnieje w Polsce aż 8 ośrodków zajmujących się konstrukcją EMC, ale nie ma ani jednego ośrodka, który zajmuje się zastosowaniami tych maszyn w gospodarce”. Publicystyka tego typu zwykle wiązała się z narażeniem się albo jakimś dygnitarzowi, albo jakiemuś urzędowi.

Wspomniany artykuł i inne przyczyniły się do tego, że premier wydał 16 czerwca 1961 r. zarządzenie nr 96, w którym powołał Międzyresortową Komisję ds. Automatyzacji i Mechanizacji Prac Obrachunkowych, o czym już była mowa. Z tego względu kilku pionierów zastosowań EMC postanowiło opracować podobną „uchwałę”, ale tylko w odniesieniu do EMC. Chodziło w niej, aby zerwać lub ograniczyć wpływ grupy z ZAM w PAN, która „unaukowała” rozwój EMC na wzór sowiecki i przestawić go na tory podejścia inżynierskiego, zgodnie ze światowym trendem, jaki dyktował Zachód.

Liderem tej grupy był dr Wojciech Jaworski z Instytutu Elektrotechniki w Międzyzlesiu pod Warszawą. Dla dobra sprawy pozyskał wysokiej rangi działacza państwowego, jakim był Adam Wang, zastępca przewodniczącego Komisji Planowania przy Radzie Ministrów. To on spowodował

wydanie zarządzenia w sprawie mechanizacji automatyzacji prac obrachunkowych. Do kierowania Zespołem ds. Elektronicznych Maszyn Cyfrowych w trybie roboczym minister Wang wyznaczył mgr. inż. Ludwika Mebla, specjalistę w Komisji Planowania. Po nagłej śmierci A. Wang nadzór nad Zespołem przejął gen. Marian Waluchowski. W pracach Zespołu brali udział: dr. inż. Wojciech Jaworski (spiritus movens Zespołu, informatyka obliczeniowa i ogólna),

POKRĘTNE LOSY KOMISJI DS. AUTOMATYZACJI

Prof. Antoni Kiliński (informatyka techniczna), prof. Seweryn Chajtmman (informatyka stosowana), dyr. NBP – Jerzy Lipiński (informatyka stosowana), mgr inż. Zbigniew Gackowski (informatyka stosowana) i Andrzej Targowski (jeszcze student ostatniego roku PW, informatyka stosowana i ogólna, student prof. S. Chajtmmana).

Zespół spotykał się dość często w różnych miejscach, a najczęściej w pomieszczeniu Instytutu Elektrotechniki przy ul. Koszykowej, róg ul. Emilii Plater. Gospodarzem Zespołu był wówczas dr inż. Henryk Siemaszko (AK-owiec, bohaterski uczestnik powstania w Wilnie w 1944 r.). W dyskusji poruszano tak banalny obecnie problem, a wówczas podstawowy – jak klasyfikować zastosowania EMC? Uzgodniono, że trzeba je podzielić na trzy obszary: do obliczeń numerycznych dla potrzeb naukowych i inżynierskich, do przetwarzania danych dla potrzeb zarządzania i do sterowania procesami technologicznymi. Dziś, z perspektywy 50 lat, dyskusja ta wydaje się jakże elementarna, ale wówczas w 1961 r. nie było w kraju żadnych doświadczeń w tej materii. Tracono godziny na dyskusje wokół tego tematu.



Prof. dr. inż. Wojciech Jaworski (1927–2015), pionier polskiej informatyki, współkonstruowania pierwszych polskich komputerów (XYZ, BINEG) i przemysłowego rozwoju ETO w Polsce. Zdjęcie z 2007 r. z Kanady, gdzie osiedlił się po wyemigrowaniu z Polski w 1969 r.

Zespół przygotował Uchwałę Komitetu Ekonomicznego Rady Ministrów, którą ogłoszono 11 grudnia 1961 r. Uchwała przydzielała środki finansowe na seryjną produkcję maszyn UMC-1 w ELWRO oraz na pilotowe systemy zastosowań w zarządzaniu w Zakładach Radiowych im. M. Kasprzaka i w Zakładach Wytwarzających Lamp Elektronowych im. Róży Luksemburg na Woli w Warszawie. Wdrożenie tych systemów powierzono Orgmaszowi, do którego przenie-

siono służbowo Gackowskiego i Targowskiego z Zakładu RAWAR. Zastosowania w tych dwóch zakładach miały być zaprojektowane i zaprogramowane na maszynach ZAM-41. W ten sposób uchwała objęła kompleksowo ważniejsze centra i zadania ówczesnej ETO w Polsce.

Uchwała ta została skwitowana w artykule Aparaty matematyczne w go-spodarce. Tytuł artykułu rozpoczyna dyskusję terminologiczną nad nazwą maszyn, które raz były nazywane „maszynami matematycznymi”, a raz „EMC” („Elektronicznymi Maszynami Cyfrowymi”, co było tłumaczeniem z języka rosyjskiego). Owe nazwy nie odzwierciedlały istoty tych maszyn, które ewoluowały w stronę bardziej ogólnych obszarów ludzkiej działalności. Uchwała KERM została wykonana połowicznie. Uruchomiono produkcję lampowych maszyn UMC w ELWRO, które dysponowały już maszyną Odra, tranzystorową, tzw. II generacji. Fakt ten pogłębił tylko dysonans między „Warszawą” a „Wrocławiem”. Natomiast w warszawskim centrum konstrukcji maszyn IMM nie podjęto żadnych starań, aby wykorzystać owe dwa zakłady jako laboratorium doświadczalne dla swych projektowanych maszyn ZAM-41.

Tymczasem ludziom otwierały się oczy na to, w jaki sposób nowoczesność stwarzała dobrobyt w zachodniej Europie. Liczna grupa informatyków polskich odbyła szkolenie w firmie BULL w Paryżu w latach 1962–1963 i widziała, jak szybko rozwija się ta dziedzina we Francji.

Dlatego też opinia publiczna i działacze zainteresowani informatyką ogólną nie mogli się pogodzić z sytuacją, jaką stwarzało niewykonanie w pełni Uchwały KERM. Działo się to w czasach, gdy model gospodarki Gomułki okazywał się stagnacyjny i był krytykowany otwarcie lub częściej w sposób zawaolowany przez licznych publicystów i działaczy gospodarczych. Przykładem tego podejścia były następujące artykuły:

- Michał Doroszewicz, Andrzej Targowski (1964). Automatyzacja przetwarzania danych – nieodczyny czynnik postępu technicznego. Przegląd Techniczny, 26 lipca.
- Michał Doroszewicz, Andrzej Targowski (1964). Możliwości skoku w metodach zarządzania. Przegląd Techniczny, 2 sierpnia.
- Michał Doroszewicz, Andrzej Targowski (1964). O Model dla modelowania. Przegląd Techniczny, wrzesień.

Pikanterii dodaje fakt, że jeden z wymienionych współautorów, Michał Doroszewicz, był dyrektorem Zespołu ds. Organizacji i Zarządzania w Urzędzie Rady Ministrów i formalnie odpowiadał za model zarządzania w państwie. Oczywiście odpowiedzialność ta była iluzoryczna, bowiem faktyczny model realizowała partia. Niemniej podobne artykuły i rozmowy kulaorowe spowodowały opracowanie przez Doroszewicza Uchwały Rady Ministrów nr 18/1964 r. w sprawie powołania urzędu Pełnomocnika Rządu ds. ETO (PRETO). Podobne urzędy powstały w siódmej dekadzie XX w. we Francji i Anglii, zatem Polska nie pozostawała daleko w tyle.

NASTĘPNA UCHWAŁA RZĄDOWA

W trzy lata od Uchwały KERM powstała następna uchwała, co jak na gospodarke planową, zbiorokratyzowaną i „nieruchliwą”, było dość szybko. Fakt ten wskazywał, że władze wiedziały o istnieniu sporego chaosu rozwojowego w kwestii maszyn EMC i że potrzebne jest nadanie wyższej rangi całokształtowi zagadnienia ETO. Pracownicy nauki z tytułami doktora czy profesora nie mogli sobie z tym zagadnieniem poradzić, gdyż wymagało ono podejścia nie „naukowego”, ale „inżynierskiego”. Władze zdawały sobie z tego sprawę. Wszakże w PRL działał model kapitalizmu państwowego, a nie rynkowego, który „niewidzialną ręką rynku” wyeliminowałby złe produkty i podejścia do rozwiązywania problemów. Taka była wówczas sytuacja i nie znano żadnego innego rozwiązania.



Można nawet zaryzykować twierdzenie, że po-niekąd dziwne było, że w gospodarce planowej pozwalano na nieplanowy rozwój ETO. Wynikało to z faktu, że w ZSRR rozwój ETO był na dość wy-sokim poziomie, zwłaszcza w informatyce obli-czeniowej, bowiem mocarstwo to konkurowało z USA, które były wówczas niekwestionowanym liderem spektakularnego rozwoju ETO. Zatem gdy polscy działacze gospodarczy zasięgali opi-nii u sowieckich „towarzyszy”, to otrzymywali pozytywne opinie co do ETO. Dlatego nie prze-szkadzało im w chaotycznym rozwoju ETO w PRL, ale tylko... do czasu. Zwłaszcza gdy omal gołym okiem widoczny był brak postępów w wiodącej placówce IMM w PAN. Zwykle władze nie wtrą-cały się do PAN, która wypracowała sobie model „świętej krowy”, podobnie do wszystkich akade-mii w sowieckim bloku. Uczeń z tych instytucji świetnie znali i stosowali matematykę, której panicznie bali się działacze partyjni. I póki praca była „zmatematyzowana”, jej autor mógł wieść spokojne życie, bowiem działacze ci wiedzieli, że taka praca nie jest groźna dla władz PR

Pierwszym Pełnomocnikiem Rządu ds. ETO zo-stał mgr inż. Eugeniusz Zadrzyński (1915–2002), były minister i wiceminister energetyki. Minister Zadrzyński miał wtedy 49 lat, przed wojną stu-diuował na Politechnice Warszawskiej, a w czasie wojny ukończył Politechnikę Lwowską. Do Pol-ski powrócił wraz z Wojskiem Polskim w 1945 r. w randze podpułkownika. Jak na 30-letniego mężczyznę była to ranga wysoka. Po zdemobili-zowaniu rozpoczął pracę w energetyce na stano-wisku inspektora elektrycznego, a dzięki swym in-żynierskim zdolnościom skończył na stanowisku ministra. Po połączeniu Ministerstwa Energetyki z Ministerstwem Górnictwa został wicemini-strem odpowiedzialnym za energetykę, którą wprowadził na wysoki poziom. Polska wówczas była nawet eksporterem energii do Austrii i miała krajowy informatyczny system dyspozycji mocy. Wskutek rozbieżności zdań z ministrem Janem Mitręgą opuścił ministerstwo. Gdy został utworzony urząd PRETO, władze skierowały na to stanowisko będącego właśnie w dyspozycji Zadrzyńskiego, technika z krwi i kości.



Dr inż. Eugeniusz Zadrzyński (1915–2002), pierwszy Pełnomocnik Rządu ds. ETO (1964–1966), który wprowadził tę dziedzinę na gospo-darce tory rozwoju (fot. z archiwum autora).

Powołanie Zadrzyńskiego było szczęśliwym pociągnięciem. Sprawy strategii rozwoju ETO znajdowały się dotąd w rękach różnych komisji i fachowców dobieranych ad hoc. Żaden z nich nie dysponował praktyką w administracji prze-mysłowej. Potrzebna była „nowa twarz”, która by przerwała błędne koło rozwoju ETO w Polsce. Zadrzyński miał ową praktykę przemysłową i ad-ministracyjną i to w przemyśle energetycznym, na wskroś inżynierskim i kapitałochłonnym. Dziedzina ETO ma ten sam charakter.

Urząd PRETO został zlokalizowany w jednym ze skrzydeł gmachu GUS-u w al. Niepodległości w Warszawie. PRETO miało wtedy cztery Zespoły (w randze departamentów): Techniki, Zastosowań, Ekonomicznej i Współpracy z Zagranicą. Wszędzie niby „przypadkowo” znalazło się kilku byłych pracowników MSW, jak np. mgr inż. Ma-rek Wajcen, dyrektor Zespołu Techniki. Dyrekto-rem Zespołu Zastosowań został na krótko dr To-masz Pietrzykowski z IMM. Po jego wyjeździe do Kanady jako następcę wybrano bankowca mgr. Jerzego Michałkiewicza; dyrektorem Zespołu

Ekonomicznego został były pracownik resortu energetyki – mgr Antoni Karólewski, którego wydano za systematyczne pisanie donosów i gróźb na ówczesnych dostojników. Wzięto go wówczas niestety za wariata (a może to go ura-towało). Dyrektorem Zespołu ds. Współpracy z Zagranicą był mgr Tadeusz Wróblewski.

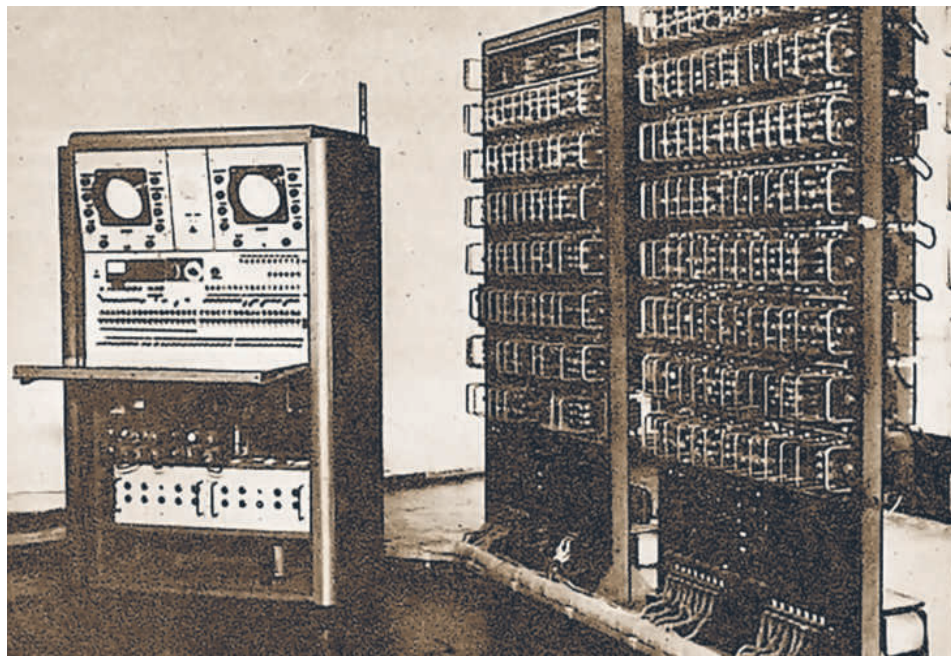
ZAŻEGNANY KONFLIKT POMIĘDZY PAN A ŚRODOWISKIEM ETO?

Pełnomocnik Zadrzyński miał strategię stwo-rzenia resortu PRETO na drodze połączenia placówek Elektrycznej z mechanizacją i automa-tyzacją przetwarzania informacji. W skład re-sortu PRETO weszły Instytut Maszyn Matema-tycznych, będący dotąd w gestii PAN, i Centrala Obrótu Materiałami i Urządzeniami Biurowymi, będąca dotąd w dyspozycji Ministerstwa Han-dlu Wewnętrznego. Zadrzyński utworzył sieć usługowych ośrodków obliczeniowych ZETO (Zakłady Elektronicznej Techniki Obliczeniowej) we wszystkich województwach, aby przyspie-szyć rozwój zastosowań ETO. W ten sposób została stworzona Krajowa Sieć Obliczeniowa (KSO). Dziś, w latach 2020., zostałaaby nazwana „chmurą obliczeniową”. Zdecydowane inżynier-skie poglądy Zadrzyńskiego przeraziły naukow-ca, dyrektora IMM, prof. Leona Łukaszewicza (1923–2013), który swymi kanałami władzy doprowadził do dymisji inż. Zadrzyńskiego i zastąpienia go w 1966 r. przez prof. mgr. inż. Stanisława Kielana (1915–1975), specjalistę od anten radiolokacyjnych, który jednak wiedziony praktyką gospodarczą zdymisjonował prof. Łu-kaszewicza i sam, równocześnie pełniąc funkcję Pełnomocnika Rządu ds. ETO, został dyrektorem naczelnym IMM.

Połączenie tych dwóch stanowisk przez prof. Kielana było dla polskiej ETO fatalne. Jako dy-rektor IMM musiał bronić prac nad rodziną maszyn ZAM, w tym nad ZAM-41 do obliczeń i przetwarzania danych. Równocześnie musiał przyjąć zadanie rozwoju komputera RIAD 30, co wynikało z politycznych zobowiązań współpracy w ramach RWPG. Wprawdzie starał się bronić, czego wyrazem było przekazanie do produkcji ZAM-41 fabryce ELWRO we Wrocławiu, która rozwijała swój komputer ODRA 1304/5 na an-gielskiej licencji ICL 1900. Powstała sytuacja, w której Polska rozwijała równocześnie trzy rodzi-ny maszyn średnich w cenie 20–35 mln zł. Żaden kraj w Europie tego nie robił. Oczywiście fabryka ELWRO nie przykładała się do produkcji ZAM-41 i pod koniec 1969 r. chciała jedyny egzemplarz (niedokończony) sprzedać i wypłacić załóżde premie. Wówczas min. Kielan polecił ZETO-ZO-WAR „zakupić” ten komputer i przydzielił z puli państwowej na „postęp techniczny” 25 mln zł. Komputer został zainstalowany w oddziale ZE-TO-ZOWAR, specjalnie w tym celu utworzonym przy Hucie Warszawa na Bielanych, w którym za-trudnienie znalazło kilkadziesiąt osób. Wkrótce został zezłomowany.

TECHNICZNA ŚMIERĆ WROCŁAWSKIEGO ZAM-41

W wyniku śmierci technicznej ZAM-41 po-zostały dwa średnie komputery do rozwoju w Polsce: R-32 (o amerykańskich korzeniach) roz-wijany w IMM, ale przekazany do produkcji do ELWRO, i ODRA 1304/5 o brytyjskich korzeniach, rozwijana przez tę samą fabrykę. Jak na jeden zespół fabryczny było to niepomiarne duże i nie-wykonalne zadanie. Ten nonsens był wielokrot-nie podnoszony w krajowej prasie. Oczywiście było wyjście, gdyby np. min. Kielan wypracował polityczne poparcie u naczelników władz i wybrał jeden z tych komputerów do produkcji. Za wy-borem R-32 przemawiał amerykański rodowód w postaci światowego standardu IBM, z kolei za wyborem ODRA 1304/5 – mniejsza komplikacja angielskiej konstrukcji. Zresztą były preceden-sy, np. Czechosłowacy dla R-20A wybrali wzór francuski BULL-a Gamma 140, a Węgry dla R-10 – inny wzór: TPA 70 (PDP-11). Niestety oba kom-putery, R-32 i ODRA 1304/5, w cenie 20–30 mln zł były za drogie dla systemów przetwarzania da-nych, jakie miały realizować wówczas w Polsce. Potrzebne były komputery za 2–3 mln zł typu Gamma 10 czy UNIVAC 1000, ponieważ 10-krot-nie droższe komputery były nieopłacalne do za-stąpienia polskiej biurokracji, którą charaktery-zowały bardzo niskie pensje. Niestety ci, co wy-bierali owe modele dla Polski, byli naukowcami cyfrykami i nie byli zorientowani w potrzebach



Pierwszy polski komputer XYZ

kraju i rozwiązanych zagranicznych. Pikanterii dodaje fakt, że specjaliści z IMM, którzy repre-zentowali Polskę w RWPG i doprojektowywali R-32, nigdy nie odwiedzili instalacji IBM 360/50 (jedynej wówczas w Polsce) w ZETO-ZOWAR, jaka mieściła się o dwa przystanki tramwajowe od IMM w al. Niepodległości 182. Byli po prostu „niezainteresowani”. Podobnie niezaintereso-wani byli pracownicy ELWRO, którzy troszczyli się o swój komputer ODRA 1304/5, a którym polecono produkowanie R-32. Do dużej „afery” doszło, kiedy ELWRO wystawił makietę R-32 (a nie działający komputer, czego się spodziewano) na Targach Poznańskich, będących oknem wy-stawowym polskiego przemysłu.

Ostatnie lata reżimu Gomułki były pełne kon-fliktów politycznych, które nie sprzyjały rozwo-jowi informatyzacji w Polsce:

- 18 marca 1965 r. byli działacze PZPR Jacek Kuroń i Karol Modzelewski ogłosili przygotowy-wany przez wiele miesięcy List otwarty do człon-ków PZPR. Poddali w nim krytyce obowiązujący od października 1956 r. model funkcjonowania państwa i społeczeństwa PRL. Autorzy tego listu nie powiedzieli nic nowego, od lat pisał o tym ju-gosłowiański komunista teoretyk Milovan Đilas (1911–1995), tyle że ich „błąd” polegał na tym, że powiedzieli to głośno w 70-stronicowej bro-szurze jako marksiści, którzy zapomnieli, że par-tia realizowała socjalizm realny. Taki, jaki można było w praktyce stosować, i że kanonem było, że „raz zdobyte władzy się nie odda”. Niemniej jed-nak List ten m.in. doprowadził do ostrych kon-fliktów w partii i ostatecznie do upadku reżimu Gomułki w grudniu 1970 r.

- W roku 1968 przez całą Europę przetoczyła się fala protestów, inicjowanych głównie przez młode pokolenie studentów i intelektualistów. Na zachodzie Europy zamieszki owe przybrały ogólnie charakter antywojenny, będący efektem zmniejszenia napięciem zimnej wojny. W Europie Wschodniej z kolei miały one zwykle charakter antyrządziecki, dążący do mniejszej zależności państw KDL (Krajów Demokracji Ludowej) od ZSRR. Nie był to dobry okres dla rozwijania ETO w PRL.

- Najtragiczniejsze w skutkach stały się wystą-pienia w Czechosłowacji, nazwane później Pra-ską Wiosną. Władze komunistyczne w Czecho-słowacji wzbudzały jedne z największych oporów społecznych w całym bloku wschodnim, głównie przez swoją niechęć do jakichkolwiek ustępstw i twarde trzymanie się linii partyjnej. Stąd też cichy społeczny opór istniał zwłaszcza wśród środowisk intelektualnych, jeszcze przed 1968 r. Praska Wiosna spowodowała w sierpniu 1968 r. inwazję na ów kraj wojsk Paktu Warszawskiego, w tym Polski, co przypomniało naszym sąsiadom zajęcie Zaolzia w 1938 r., kiedy Hitler zajmował zachodnie Czechy. Odtąd obowiązywała doktry-na Breżniewa (zwana także doktryną „ograniczonej suwerenności”) – przyjęta w 1968 r. po interwencji w Czechosłowacji i stwierdzająca,

że w krajach Układu Warszawskiego obowiązu-je ograniczenie swobód państw członkowskich na rzecz interesów wspólnoty socjalistycznej (w praktyce ZSRR). Nie był to dobry okres dla roz-wijania ETO w PRL.

- Fala studenckich protestów, która przetoczy-ła się przez polskie ośrodki akademickie w mar-cu 1968, nie spotkała się z większym poparciem społecznym. Pozwoliło to władzy na ich szybkie stłumienie.

- W maju 1970 r. Gomułka zaprezentował za-łożenia tzw. reformy Jaszczuka. Przygotowana przez bliskiego współpracownika I sekretarza koncepcja „usprawnienia systemu bodźców materialnych” zakładała podniesienie wydajno-sci pracy przez uzależnienie wysokości płacy od efektywności pracy. Skomplikowanym przelicza-niem wydajności pracy na punkty miały się zaj-mować komisje fabryczne, co powodowało roz-rost machiny biurokratycznej. Złe przygotowana reforma zakończyła się kompletnym fiaskiem. Jednakże sekretarz Jaszczuk zorganizował robo-cze spotkanie z liderami informatyki, co zapoczątkowało szersze zainteresowanie polityków dziedziną ETO.

- 20 lipca 1969 r. dwóch Amerykanów wyląd-o-wało na Księżycu, które to lądowanie oglądało 600 000 ludzi, w tym Polacy. Padło wówczas sło-wo „komputer”, które odtąd zastąpiło stopnio-wo rosyjski termin EMC (Elektroniczna Maszyna Cyfrowa). Polacy naocześnie zapoznali się z potęgą techniczną Stanów Zjednoczonych, którą mogli porównać z marazmem techniki w PRL.

- W październiku 1970 r. podczas posiedzenia Biura Politycznego KC PZPR omówiono pogarsza-jącą się sytuację gospodarczą kraju – spadła pro-dukcja rolna, nastąpił znaczący spadek pogłowia trzody chlewnej, zbiory zbóż w 1970 r. były mniej-sze od tych z roku poprzedniego o 12%. Wprowa-dzenie podwyżek cen mięsa wywołało protesty robotników w Gdańsku, Gdyni i Szczecinie, a ich bezwzględne tłumienie przez wojsko i milicję roz-pętało burzę społeczną, która zmiotła rządzącą ekipę w grudniu 1970 r. Kryzys ten spowodował pozytywne otwarcie na dyskusję społeczną odno-snie do zastosowania informatyki w gospodarce, co doprowadziło do społecznego opracowania programu rozwoju informatyki na lata 1971–1975.

Proces wiązania informatyki z polityką państw autorytarnych (których liczba w XXI w. rośnie, a nie maleje) wymaga poważnych badań politologicz-nych i socjologicznych, które pomimo upływu 30 lat wolnej III RP nie zostały podjęte, z wyjątkiem „historycznych” konkursów organizowanych przez PTI mających na celu modne dyskredytowanie in-formatyki w PRL, nagradzając opracowania, które wykazywały się nadgorliwością w tym zakresie. Dla-tego ten proces dokumentuje się w tym opracowa-niu, w dodatku z tzw. pierwszej ręki. Godny uwagi jest fakt, że brak kontynuacji rozwojowej informa-tyki jest m.in. powodem tego, że w XXI w. III RP jest w ogniu państw europejskich w ich informatyzacji. C.D.N.



Do szkoły... Do pracy...



Tekst & foto - Tomasz Suwała, publicysta i blogger

Szedłem sobie spokojnie, spacerkiem, rano, do pracy... I widziałem jak młodzież szkolna też idzie ze spuszczonej głową, ciągnąc nogę za nogą i nawet w telefon im się patrzeć nie chciało... Koniec laby, koniec przygód, koniec wolności... I ja też już po urlopie a mimo to gdzieś w głębi duszy jeszcze by się gdzieś podkazywało. A tu niestety zaczyna się kierat, codzienne chodzenie do pracy to jak wyrwane z życia cenne dni, tygodnie, miesiące aż do następnego urlopu. Spojrzałem jeszcze raz na tych młodych ludzi, na twarzach których odbijało się przygnębienie i zrobiło mi się ich żal niemal tak samo jak siebie, oni teraz czekają już tylko przyszłorocznych ferii i ten czas muszą jakoś przeżyć. I nagle zdałem sobie sprawę z tego, że jedziemy na tym samym wózku. Ja czekam do następnego urlopu oni do następnej kanikuły...

Popołudniu wracałem po pracy równie spacerowym, spokojnym krokiem, równie przygnębiony, bo przecież jutro znowu trzeba będzie rano wstać i wyruszyć w tę samą trasę, co poprzednio... Chciałem skrócić pod sklepik, ale drogę zagrodziły mi jakieś dwie wrzeszczące na siebie grupy ludzi.

Pierwsza z nich krzyczała: wy chamy, ćwoki, nieuki i nieroby!!! Sprzedaliście się za pincet plus a teraz się sprzedajecie jak tanie dziwki za 800 plus!!! Śmierdźcie gnojem!!! I wódą!!! – ktoś jeszcze dodał.

Druga grupa nie była gorsza: a wy ze wsi do miast pojechaliście, ale słowa wam w butach została! Jedno, co umiecie to wypier...lać!!! Sprzedaliście się za unijne pieniądze!!! Będziecie robić, co wam tunia karze!!!

Na to pierwsza nie dawała za wygraną: A ten wasz Mateuszek kłamie jak z nut, w sądzie przegrał, bo kłamał, że poprzednio było 15% bezrobocia i teraz musi wszystko odszczekać!!!

Druga grupa ryknęła śmiechem: nie było 15% lecz 14 i 6 dziesiątych, ale wielka różnica, koń by się uśmiał!!!

Pierwsza grupa nadawała dalej: a wy umiecie się tylko kłócić i wyzywać!!! A ten koń to był kiedyś u was, ale zmądrzał i poszedł do nas!!!

Druga grupa: chyba zgłupiał, bo u was same głupole i cymbały są!!!

Pierwsza grupa: a u nas nawet wieś jest za Unią!!!

Druga grupa: chyba chłopak rozstropek, co go nikt nie chciał!!!

Pierwsza grupa: a wasz idol to zakuty mściwy kurdupe!!!

Drudzy: a wasz ryż to wredny sprzedawczy, sprzedał się szwabom!!!

Epitetom nie było końca. Przeszedłem obok. Wybory dopiero w październiku a oni już wypstry-

kali się ze wszystkich pomysłów i zostali im tylko wyzwiska. Swoją drogą ciekawe, jakie oni mają programy?

Strona rządowa już nic nowego nie wymyśliła. Tam po prostu mówią, że będą robić to, co do tej pory a nawet bardziej, czyli zamiast 500 to 800 plus. I to chyba ich jedyny program.

Strona głównej opozycji... oni mają jakiś program? Ach mają, oczywiście, wysadzić ze stołków stronę rządową. O innym programie nie słyszałem.

Trzecia noga... aby tylko wejść do sejmu i będzie grała muzyka.

Lewicowcy chyba podobnie, choć tam jeszcze są hasła, aby uchwalić homomałżeństwa.

A konfa? Tam program prosty: żadnego rozdawnictwa, niech każdy sam sobie zapracuje i to wszystko ku chwale Boga i Ojczyzny.

Jednym słowem nic nowego.

Usiadłem na murku, wyjąłem puszkę...

– Panie, to wszystko jedna wielka gra – usłyszałem za sobą i nim zdążyłem się odwrócić gość siedział już obok mnie i mówił dalej: – Pamięta pan Bielana?

– Pamiętam – odpowiedziałem – To był kiedyś zaufany prezesa, szef kilku udanych kampanii, jednym słowem cwany i niegłupi gość, ale go prezes w końcu wywalił.

Gość spojrzał na mnie z politowaniem i zaczął wyjaśniać:

– Nie wywalił tylko dał mu tajne zadanie: pozbyć się Gowina i jego partyjki. Bielan wszedł tam, zyskał zaufanie w kluczowym momencie rozwalił partyjkę, że aż Gowin trafił do psychiatryka. Ale partyjki nie ma, zadanie wykonał.

– Spiskowa teoria – skomentowałem.

– Zdziwiłby się pan ileż to spiskowych teorii okazało się potem prawdą. To samo jest z grupą Hołowni. Nie wiem czy sam Hołownia o tym wie, ale jego najważniejsi ludzie z pewnością. Wszedł po to w koalicję z ludowcami, żeby ich rozbić. Wszystko na zlecenie Ryżego. To dlatego nie zgodzili się na wejście w koalicję Kołodziejczaka, bo z nim ludowcy byłiby zbyt silni. A Ryżę szczywaną lis, zgarnął Kołodziejczaka do siebie. No i sama koalicja, próg dosyć wysoki, bo 8%, mogą go nie przekroczyć. Kto to wymyślił, żeby była koalicja z tak wysokim progiem?

Wzruszyłem ramionami – nie wiem kto.

– Grupa Hołowni jest tam tylko po to, żeby ludowcy nie weszli do sejmu – gość mówił dalej – Oni wykonują zadanie Ryżego. Zakładając, że główna opozycja wygra, nawet niewielką przewagą, to dzięki liczeniu głosów metodą D'Hondta uzyskają przewagę mogącą mieć większość w sejmie. Sprytnie, co?

– A lewica? – spytałem.

– Na lewicę też jest hak, tylko jeszcze nie wiem jaki – odpowiedział.

– Eeeee – zżymałem się – pitolenie.

– Ale widzisz pan, Konfederaci jednak mądrzej. Tam są 3 ugrupowania w jednym: Mentzena, dawniej Korwina-Mikkego, Narodowcy Bosaka i świętobliwi Brauna, ale koalicji nie stworzyli, lecz jedno ugrupowanie i dzięki temu próg wyborczy mają niższy.

– Ale co mi pan tu... Co mnie to obchodzi – przepięłem i dodałem – Idź pan tam do nich, oni się tam wyzywają, tam im pan opowiada swoje rewelacje.

– Oni? To głupole, nawet nie widzą jak są manipulowani. A w tym wszystkich chodzi tylko o stołki, władzę i pieniądze.

– No to, po co głosować, skoro tylko o to chodzi? – spytałem.

– Wybór jest jeden: albo podepnijemy się pod Niemców, najsilniejszych w Europie i będziemy robić, co oni zechcą albo będziemy słuchać Jankesów i spróbujemy rozbić niemiecką hegemonię w Europie – to powiedziawszy wstał i poszedł.

A ja popijając wzruszyłem ramionami, bo czyż mój jeden głos może o czymkolwiek zaważyć?



REKLAMA

HOTEL ANTON

by DNS Hotele



HOTEL | RESTAURACJA

PRZYJĘCIA | KOMUNIE | CHRZCINY | WESELA | LUNCHE DNIA

22 728 22 22 | 571 404 306

recepcja@hotelanton.pl | www.hotelanton.pl

Komentować można na:
www.piorkientomkas.blogspot.com



57. Rajd „Po kamienistej drodze” do Pęcic

Tekst & foto - Daniel Wolborski, Członek Klubu PTTK „Varsovia”, Komandor 57. Rajdu „Po kamienistej drodze”

Wszyscy ci, którym pamięć o Powstaniu Warszawskim nie jest obojętna, spotkali się 30 lipca bieżącego roku przy pęcickim pomniku-mauzoleum na 57. Rajdzie „Po kamienistej drodze”. Słowem kluczem tegorocznych obchodów było „poświęcenie” – własnych przekonań, słabości w imię wyższych wartości, Ojczyzny. Owo „poświęcenie” wypowiedziane wielokrotnie podczas przemówień, odczytanych listów czy kazania w czasie mszy św. dotyczyło przede wszystkim powstańców z IV Obwodu Ochota AK, jak i tych z VII Obwodu „Obroża” (Pruszków, Piastów, Ursus), którzy chcieli przedostać się do Lasów Chojnowskich w celu przegrupowania się i dozbrojenia. Nad ranem 2 sierpnia 1944 r. starli się z siłami niemieckimi na terenie Pęcic. 91 powstańców straciło życie. Część zginęła w walce, innych rozstrzelano po zakończeniu bitwy i pochowano w zbiorowym grobie. Symbolem pamięci o nich jest organizowany od 1967 r. Rajd „Po kamienistej drodze”.

*Walczyci dla Polski, jak ongiś rycerze,
Ojczyźnie swą młodość i życie w ofierze składali do stóp.
Więc uczcić ich trzeba i w sercach, i w czynie,
Niech skromna pamiątka choć po niech nie zginie,
Krzyż, wieniec i grób.*

Powyższe słowa zostały wypowiedziane 30 lipca bieżącego roku przy Pomniku-Mauzoleum w Pęcicach, podczas 57. Rajdu „Po kamienistej drodze”. Rajd, organizowany od 1967 r., gromadzi tych, dla których pamięć o bitwie pęcickiej 2 sierpnia 1944 r. jest ważna, zgodnie ze słowami: I choć ich życia płomień zgaś, to pamięć o Tych, których już nie ma, nadal jest wśród nas... Owymi rycerzami walczącymi dla Polski byli powstańcy z IV Obwodu Ochota AK, jak z VII Obwodu „Obroża” (Pruszków, Piastów, Ursus), którzy chcieli przedostać się do Lasów Chojnowskich w celu przegrupowania się i dozbrojenia. Nad ranem 2 sierpnia 1944 r. starli się z siłami niemieckimi na terenie Pęcic. 91 powstańców straciło życie. Część zginęła w walce, innych rozstrzelano po zakończeniu bitwy i pochowano w zbiorowym grobie. Na jego miej-



scu, staraniem rodzin poległych i pomordowanych, ich towarzyszy broni oraz dzięki ofiarności społeczeństwa, wzniesiono symbol ich ofiary za Ojczyznę – Pomnik-Mauzoleum.

Pamięć o „Orłętach Pęcickich”

Jak to się dzieje od wielu lat, organizacja Rajdu nie byłaby możliwa bez współpracy Oddziału Stołecznego PTTK im. Aleksandra Janowskiego, Klubu PTTK „Varsovia” im. Stefana Jaronia-Kowalskiego, władz Gminy Michałowice, a także środowiska kombatanatów z Ochoty. Tak jak w roku ubiegłym, cała uroczystość odbyła się przy Pomniku-Mauzoleum. Przybyło na nią około 100-150 osób. Wśród przybyłych gości znaleźli się przedstawiciele rodzin poległych i pomordowanych w bitwie pod Pęcicami (krewni Zbigniewa Chrzanowskiego ps. „Wilk”, Mariana Czujkowskiego ps. „Grom”, Antoniego Ważyńskiego ps. „Stefan”, Wojciecha Wajszczuka ps. „Wojtek” i Zbigniewa Arendarczyka ps. „Zajączek”), Powstańcy Warszawscy (Stefan Pastewka ps. „Jurek” – żołnierz IV Obwodu Ochota AK, Bogdan Bartnikowski ps. „Mały” – żołnierz IV Obwodu Ochota AK, prozaik i reportażysta, Zbigniew Daab ps. „Kapiszon” – żołnierz IV Obwodu Ochota AK), delegacje kombatanckie, przedstawiciele Wojska Polskiego i służb mundurowych (Policja, Straż Pożarna z Nowej Wsi), stowarzyszenia (Stowarzyszenie Pamięci Powstania Warszawskiego 1944, Towarzystwo Przyjaciół Warszawy, Stowarzyszenie Lotników Polskich, Warszawski Klub Seniorów Lotnictwa, Oddział PTTK Warka, Mokotowski Klub Turystyczno-Krajoznawczy im. Krystyny Krahelskiej), fundacje i muzea (Fundacja „Dwór Polski”, Muzeum Żołnierzy Wykłętych i Więźniów PRL w Warszawie), reprezentanci samorządu wojewódzkiego, powiatowego i gmin, miast ościennych, delegacje sołectw, mieszkańcy Pęcic i sąsiednich miejscowości oraz harcerze z Hufca Pruszków.

Uczestnicy uroczystości na początku wystąpili, w wykonaniu Wojciecha Bardowskiego i Rafała Grzaki, koncertu pieśni patriotycznych. Zebrani mogli usłyszeć utwory ukazujące polski czyn zbrojny w wieku XIX i XX: „Wojenko, wojenko” (powstanie styczniowe 1863 r.), „O mój rozmarnie” (I wojna światowa, wojna polsko-bolszewicka roku 1920), „Warszawskie dzieci”, „Marsz Mokotowa”, „Pałacyk Michła” (piosenki śpiewane w czasie Powstania Warszawskiego).

Następnie odbyła się msza polowa, którą celebrował ks. Jacek Zbyszyński – proboszcz Parafii Św. Apostołów Piotra i Pawła w Pęcicach. W swoim kazaniu wskazał, odwołując się do czytań i Ewangelii, że powstańcy kierując się mądrością serca, kochali Polskę i służyli jej. Jak rybak w Ewangelii Św. Mateusza wyławia perłę, która jest dla niego rzeczą najcenniejszą, tak dla poległych i pomordowanych w boju pęcickim taką perłą była Ojczyzna, za którą gotowi byli oddać życie. Oni walczyli o wolność, z której my się dzisiaj cieszymy.

W atmosferze zadumy nad słowami celebrowa, obecni na 57. Rajdzie „Po kamienistej drodze” weszli w ostatnią część obchodów rajdowych, a był nią uroczysty Apel Poległych. Prowadzony, jak co roku, przez płk. rezerwy Lecha Pietrzaka. Najpierw nastąpiło wejście orkiestry wojskowej, następnie honorowej asysty wojskowej, którą stanowił pododdział reprezentacyjny 9. Brygady Wsparcia Dowodzenia Dowództwa Generalnego Rodzaju Sił Zbrojnych (dowódcą był por. Robert Bastek) wraz z pocztami sztandarowymi, na czele z żołnierzami 1. Warszawskiej Brygady Pancernej niosącymi sztandar IV Obwodu AK Ochota, jak też sztandarem Szarych Szeregów. Po czym odśpiewano „Mazurka Dąbrowskiego”.

BEZOPERACYJNE LECZENIE KRĘGOSŁUPA

Ośrodek Medycyny Manualnej i Osteopatii NATURMED

Ursus-Gołębki, ul. Koronacyjna 15
Zapisy: tel.: 22 662 49 07, +48 604 092 007
pon. – piąt. w godz. 9.00 – 17.00

Zabiegi likwidujące bóle - BEZ LEKÓW

LECZYMY

- Bóle ostre,
- przewlekłe,
- nagłe,
- pourazowe,
- nerwobóle,
- bóle głowy,
- kręgosłupa,
- barku,
- kolan,
- bioder.



mgr
Jakub
Górnicki

Pierwsza konsultacja jest bezpłatna,
aby ustalić wskazania do zabiegu lub przeciwwskazania.
Należy przynieść badania (również dawne)
RTG lub rezonans.



Tekst & foto - NATURMED

Ponieważ bóle kręgosłupa, to problem wciąż narastający, przedstawiamy Czytelnikom kolejny raz Ośrodek wyjątkowo skutecznych metod przeciwbólowych – BEZ LEKÓW – Naturmed. Zapewnienia najróżniejszych gabinetów w prasie, Internecie, prześcigają się w atrakcyjności, trzeba jednak wiele wiedzy na ich temat, aby nie narobić sobie jeszcze większych kłopotów. Do Naturmedu często przychodzą ludzie z uszkodzonymi przez niewykwalfikowanych „specjalistów” kręgosłupami.

Paradoksem jest, że likwiduje się bóle kręgosłupa, barku, pleców i inne, które mają swe źródło w kręgosłupie – niemal zawsze lekami przeciwbólowymi. Takie leki, żele, plastry – ból przyćmią na krótko, ale nie usuwają przyczyn bólu. Ból powraca.

Skutki stosowania leków bywają bardzo poważne. Jednak należy pamiętać, że każdy objaw bólu należy zdiagnozować odpowiednimi badaniami, by określić przyczynę i nie przeoczyć innych, nie związanych z kręgosłupem powodów dolegliwości.

A jeśli to kręgosłup „winien” - najbardziej sensowną i skuteczną metodą jest medycyna manualna i osteopatia.

Kiedy żarówka nie świeci, bo jest nie dokręcona, to manipulowanie samym wyłącznikiem nie spowoduje, że zaświeci.

Oto kilka wypowiedzi pacjentów, zadowolonych z pomocy mgr Jakuba Górnickiego:

** To, co się dzieje w leczeniu, to w ogromnej ilości przypadków nie jest system ochrony zdrowia, ale system ochrony chorób, by nie wyleczyć, ale LECZYĆ! A ceny leków i leczenie rosną szybciej niż inflacja! Te koktajle z przyjmowanych leków niszczą tysiące ludzi rocznie! Uzmysłowiłam sobie to dobitnie po pomocy, jaką uzyskałam w Naturmedzie u mgr Jakuba Górnickiego. Czuję się świetnie! (Prpogramista z Warszawy I. 59)*

** Byłem w Konstancinie trzykrotnie. Po żadnym pobycie nie było lepiej. Czytałem dano temu o Naturmedzie. Nieufnie, ale przyjechałem tu. To czego doświadczyłem od pana mgr Górnickiego jest zdumiewające. Ustąpiły moje problemy z nogami i barkiem, lepiej śpię. (Stanisław I. 71)*

** Choć byłem w kilku gabinetach, to takiego zabiegu, jak u p. Górnickiego jeszcze nie miałem. Jestem ty czwarty raz, czuję się nieporównanie lepiej, bez bólu i leków! Może uda mi się uratować wątrobę zniszczoną lekami przez prawie dziewięć lat! Unormowało mi się trawienie! Nie bolą kolana i lędźwie! Wdzięczna ogromnie jestem! (Nauczyciel I. 56)*

** Cięża uniemożliwiała mi zażywanie leków. Moja ginekolog podpowiedziała mi osteopatię w Ośrodku Naturmed. Tu bezpiecznie zlikwidowano mi ból pleców! Osteopatia, to rewelacyjna metoda! Jestem szczęśliwa! (Krystyna I. 29 z Błonia)*

** Jestem sadownikiem – rolnikiem. Od dziecka ciężka praca. Już nie było dla mnie leku. Plecy, bark, lędźwie – niesamowicie bolały. Zaczęły siadać kolana i biodra. Czego ja nie tykałem?! Strach mówić! Sanatoria nie pomagały. Załamany i bez nadziei trafiłem do Naturmedu! Pan Górnicki wyprowadził mnie na spokojne wody. Jestem przeszczęśliwy! Brak mi słów podziękowania! Całym sercem dziękuję! (Iwona Napiórkowska I. 62)*

** Mam 76 lat. Bóle nóg i krzyża były nie do zniesienia. To niewiarygodne, że człowiekowi w tym wieku można tak bardzo pomóc i to bez leków! Jestem wzruszony i wdzięczny. (Emerytka)*

** Do Naturmedu w Gołębkiach koledzy wnieśli mnie na krześle. Zastrzyki przez 12 dni nic nie pomogły. A tu już po drugim zabiegu chodzę samodzielnie, to po prostu rewelacja. (Pacjent z Sochaczewa I. 41)*

** Mój kolega ortopeda stwierdził, że nie ma sensu leczyć mnie lekami, fizykoterapia to za mało i dał mi namiar na Naturmed, do pana mgr Jakuba Górnickiego lub mgr Wojciecha Papajewskiego. Powiedział: obaj świetni! Stwierdziłem, że takich, jak oni powinno być chociaż kilku w każdym mieście! Trzy zabiegi u pana Jakuba Górnickiego postawiły mnie na nogi! Mogę wykonywać wszystkie obowiązki w pracy i w domu, chodzę nawet na tenisa, byłem miesiąc temu w górach! Coś niesamowitego! (Ryszard z Warszawy - Ursus I. 66)*

** Miałam zaburzenia rytmu serca, szybko się męczyłam, leki nie pomagały! Lekarz w szpitalu, stwierdził prawidłową funkcję serca i zalecił mi leczenie kręgosłupa. Nie uwierzytałbym, gdybym nie doświadczyła pomocy w NATURMEDZIE! Myślałam, że sobie robi żarty! Ale spróbowałam. Nie ma śladu arytmii, śpię doskonale bez leków, zniknęło zupełnie drętwienie rąk! Brak mi słów wdzięczności! (Agnieszka Paradowska I. 49)*



Sajgon

Sergiusz Kołowrotny - pisarz

Nasz blok miał już dwadzieścia lat. Nie można go było w żaden sposób nazwać nowym, ale wielu mieszkańców nadal nazywało go „naszym nowym domem”, a wszystko dlatego, że co chwilę ktoś nowy wprowadzał się do niego.

Tym razem nowi lokatorzy pojawili się w mieszkaniu pod numerem dziewięć. Wraz z nimi przyjechała cała ciężarówka mebli.

Dzień był ciepły, słoneczny, kalendarz pokazywał niedziele, wszystkie dzieci wybiegły na podwórko, aby przywitać nowych lokatorów.

Z taksówki, która zatrzymała się za ciężarówką, wysiadł wysoki młody mężczyzna, a za nim blondynka. Potem z samochodu wyskoczyła krótkowłosa dziewczynka w wieku około trzynastu lat.

— Spójrz, — szepnął Pawlik do przyjaciela. — Co za rudzielec!

— Jak ogień! — skinął głową Sławek.

Tymczasem lokatorzy, ignorując gapiów, zaczęli wyładowywać rzeczy.

— Ola! — krzyknął mężczyzna. — Czy pamiętasz, może, gdzie są klucze do naszego nowego mieszkania?!

Kobieta wyjęła z torebki klucze i podała je mężowi, który podnosząc wysoko do góry krzesło, skierował się w stronę nowego mieszkania.

Po chwilę wrócił, niosąc w rękach wielkiego rudego kota.

— Och, tatusiu, co to za kotek? — dziewczynka pisnęła z zachwytem.

— Nie wiem, — odpowiedział zdezorientowany tato. — Wyobraź sobie, siedział w naszym mieszkaniu!

— Ale numer! — zdumiał się Sławek. — Przecież to... Sajgon!

— Co za „Sajgon”? — spytała niezadowolonym głosem kobieta. — Nie chcę żadnego sajgonu w naszym domu!

— Sajgon jest kotem rodziny Kowalików, — wyjaśnił Pawlik. — Oni się wyprowadzili, a kot... pozostał. Może, zapomnieli?..

— Mamusiu... — powiedziała dziewczynka błagalnym tonem i spojrzała na mamę.

— Nie ma mowy! — kobieta była nieugięta. — Nie będę tolerować żadnych kotów w naszym mieszkaniu!

Ojciec dziewczynki, słysząc ton żony, natychmiast oddał kota Pawlikowi i odsunął się na bok z poczuciem winy.

— I co teraz? — zapytał z niepokojem Pawlik przyjaciela, przytulając kota do siebie. — Zabrałbym go, ale mój tata ma alergię.

— A my mamy w domu psa, — powiedział Sławek.

— Może ktoś z sąsiadów weźmie?

Chłopcy zaczęli myśleć, komu zaoferować kota.

— O! Mam pomysł! — wykrzyknął Pawlik. — Czerniakowscy nie mają ani kota, ani psa. Może oni wezmą?..

— No, dokładnie! Pan Michał to dobry człowiek, pamiętasz, często mówił, że kocha zwierzęta! Na pewno zabierze do siebie Sajgona! I chłopcy pobiegli na trzecie piętro.

Drzwi otworzył im gruby wąsaty mężczyzna, ubrany w kwiciastą piżamę.

— Hm! — Powiedział pan Michał, zdziwiony prośbą chłopców. — Nawet nie wiem co wam powiedzieć, moi drodzy!

On popatrzył ze wszystkich stron na rudego kota, oczy które były jak dwa ogromne żółte spodki ze strachu.

— Co ja mam z nim robić? Nie wiem, nawet, czym go karmić...

Ale chłopcy zaczęli zapewniać, że sami będą przychodzić i karmić kota.

— No dobra! Wchodź, przyjacielu, — powiedział pan Michał i wpuścił kota do mieszkania.

Szczęśliwi przyjaciele wyskoczyli na ulicę. Cieszyli się, że tak dobrze im poszło!

— Lecimy na boisko! — krzyknął Sławek — Nasza drużyna gra w piłkę z zespołem z osiedla Graftowe!

— Gazu!!

Ale zanim przyjaciele zdążyli wybiec przez bramę, z trzeciego piętra rozległ się głośny krzyk:

— A niech to cholera weźmie!!! Łobuzie! Co ty narobiłeś!



Sławek i Pawlik stanęli jak wryci i podnieśli głowy w oszołomieniu — krzyki dobiegały z mieszkania pana Michała.

Chłopcy natychmiast pobiegli na trzecie piętro i zapukali.

Drzwi otworzyły się i z mieszkania wyskoczył mokry, rozzochrany i jeszcze bardziej przestraszony rudy kot. Za nim w drzwiach pojawiła się pani Maria w wałkach na głowie, wymachując trzepaczką do dywanów.

Jak się później okazało, rodzina pana Michała oglądała telewizję, kiedy najmłodszy syn Mikołaj pobiegł za kotem, a tamten wskoczył na szafę. Pan Michał próbował go stamtąd ściągnąć, ale Sajgon przypadkowo wpadł do akwarium z rybkami, skąd wskoczył na telewizor. Z telewizora natychmiast wyleciał dym, ze środka poleciały iskry, a potem nastąpiła ogłuszająca eksplozja.

Sajgon zrobił naprawdę prawdziwy „Sajgon”!

Pawlik i Sławek nie wiedzieli, co dalej zrobić, nikt inny z lokatorów już nie chciał rozrabiającego kota. Na próżno chodzili i prosili. Wszystko na nic.

W końcu pani Dorota zlitowała się nad chłopcami. Była sprzedawczynią w kwaciarni naprzeciwko naszego bloku.

— W porządku! — powiedziała, — wezmę waszego kota. Niech zamieszka ze mną, jak nikt inny nie chce go wziąć.

Sławek i Pawlik z radością jej podziękowali — co za dobry człowiek! Trzeba będzie jej jakoś pomóc, przynieść ziemię do doniczek. Często mówiła, że brakuje jej ziemi, aby przesadzić kaktusy.

Przyjaciele pobiegli na boisko, bo gra już się zaczęła, natychmiast dołączyli się do gry.

Kiedy ich drużyna wygrywała „dwa do zera”, przybiegł zdyszany Jarek.

— Och, co się stało, co się stało! — wrzasnął on. — Wracajcie szybko, bo kot znów narozrabiał!

Przestraszeni Sławek i Pawlik porzucili grę i pobiegli z powrotem na podwórko.

A tam... O rety! Co tam się działo pod czas ich nieobecności!

Okazało się, że Sajgon nie zabawił długo z panią Dorotą. Pozwoliła mu wyjść na spacer po swoim balkonie, a on wziął i zrzucił jej najlepszy fiolet w glinianej doniczce na dół. Spadając, uderzył pana Jana, który był dozorcą w naszym bloku.

Pan Jan się wściekł! Gdy tylko pani Dorota wystawiła rudego na dwór, on go oblał z węża tak, że znowu nie było na nim suchego miejsca.

Sajgon nie pozostał dłużny. Uciekając przed wodą, wskoczył na parapet, gdzie stała puszcza z niebieską farbą (ona pozostała po re-

moncie klatki schodowej) i przewrócił ją. Zanim mieszkańcy bloku zobaczyli co się dzieje, kot zeskoczył z parapetu, prosto w kałużę farby i w dzikim przerażeniu przebiegł przez wszystkie samochody stojące pod blokiem.

Kiedy Pawlik i Sławek przybiegli, już pół bloku ścigało Sajgona po podwórku. Jeden miał trzepaczkę do dywanów, drugi z miotłą, reszta chwyciła to, co było pod ręką.

Chłopcy strasznie się przestraszyli. Co teraz będzie z kotem!

W zgiełku kot gdzieś znikł, a tłum wściekłych mieszkańców zatrzymał się na środku podwórka, by złapać oddech.

— Gdzie jest ten rudy bandyta?! — pytali jeden drugiego.

— Pokaż się tylko, ty kocia morda! — krzyczał pan Jan, machając węzłem.

Lokatorzy ucichli na chwilę, i nagle usłyszeli, jak ktoś cicho płacze zza śmietnika.

— Kto to płacze? — zdziwił się pan Jan. I wszyscy mieszkańcy poszli zobaczyć.

Za śmietnikiem siedziała trzyletnia dziewczynka — córka pana Stefana z pierwszego piętra. Uderzyła się w kolano i cicho płakała, pocierając posiniaczone miejsce. A obok niej siedział rudy kot Sajgon i liżał rękę dziewczynki. Pewnie się nad nią litował.

Widok ten odebrał wszystkim chęć karcenia kota.

Nawet pan Jan podrapał się po głowie, machnął ręką i odszedł.

Starszy kierowca, którego samochód również został „uszkodzony” przez wybryki Sajgona, powiedział:

— A dlaczego w ogóle zaatakowaliśmy tego kota? W końcu trzeba mu też współczuć — przecież właściciele go porzucili...

— Można, ale co mu z naszej litości? — dodał inny lokator. — Kto weźmie kota?..

Nastąpiła cisza. I wtedy za plecami odezwał się pan Grzegorz — samotny cichy emeryt z sąsiedniego bloku, który codziennie budził się pierwszy i szedł po świeżą gazetę i mleko. On usłyszał krzyki lokatorów i przed chwilą podszedł do nich.

— Wezmę go do siebie. Tylko dam mu drugie imię. Niech teraz będzie „Pączek”, może przestanie chuliganic.

Wszyscy wokół się zaśmieli.

Pawlik szepnął do ucha Sławkowi:

— Ale byliśmy głupcami, dokuczaliśmy mu! A okazało się że jest takim dobrym człowiekiem!

— Zgadza się! — odpowiedział Sławek. — Od jutra będziemy mu pomagać.

A pan Grzegorz usłyszał to i się uśmiechnął.

— Dzięki, chłopaki, nie trzeba. Przychodźcie tak po prostu. Aby odwiedzić mojego Pączka!



**WYJEŹDŻASZ?! MY ZADBAMY
O TWOJEGO MAŁEGO PUPILA
W WARUNKACH DOMOWYCH
W KOMOROWIE**

TEL.: +48 604 194 132

REKLAMA



POWIATOWY URZĄD PRACY w PRUSZKOWIE

05-800 Pruszków, ul. Drzymały 30 wejście C, pokój nr 129
tel.: (22) 770 20 45/48 <http://pruszkow.praca47.gov.pl>



1. **Szwaczka** - wykształcenie niewymagane. Wymagane minimum 2 lata doświadczenia zawodowego. Praca w Pruszkowie. **Oferta nr 959.**
2. **Specjalista ds. zamówień publicznych** - wykształcenie wyższe. Minimum 1 rok doświadczenia na podobnym stanowisku. Wymagana znajomość Ustawy Pzp oraz umiejętności negocjacyjne. Oferta przeznaczona dla osób posiadających orzeczenie o stopniu niepełności. Praca w Pruszkowie. **Oferta nr 961.**
3. **Pracownik produkcji** - wykształcenie zasadnicze zawodowe. Minimum 3 lata doświadczenia zawodowego. Praca w miejscowości Dawidy. **Oferta nr 991.**
4. **Pomoc kuchenna** - wykształcenie podstawowe. Staż pracy- mile widziane doświadczenie na podobnym stanowisku. Mile widziana książeczka sanitarno-epidemiologiczna. Praca w Pruszkowie. **Oferta nr 998.**
5. **Sprzedawca** - wykształcenie średnie branżowe. Wymagana umiejętność obsługi kasy fiskalnej oraz terminala kart płatniczych Staż pracy min. 2 lata. Praca w Podkowie Leśnej. **Oferta nr 1009.**
6. **Portier** - wykształcenie minimum zawodowe. Praca w Pruszkowie. **Oferta nr 1029.**
7. **Nauczyciel wychowania przedszkolnego** - wykształcenie wyższe pedagogiczne. Praca w Wolicy. **Oferta nr 1030.**
8. **Odlewnik** - wykształcenie niewymagane. Możliwość przyuczenia do wykonywania pracy, doświadczenie nie jest konieczne. Praca w Piastowie. **Oferta nr 1031.**
9. **Sprzątacze/sprzątaczką** - wykształcenie niewymagane. Praca w Otrębusach. **Oferta nr 1036.**

ZŁOM PATROL

515 430 617

ODBIÓR ZŁOMU



**AGENCJA
WYDAWNICZO
REKLAMOWA -
PROFIL MEDIA**

Wydawca gazety
Głosu Pruszkowa
oraz portalu www.gpr24.pl

Redakcja Głosu Pruszkowa: 05-806 Komorów, ul. Moniuszki 6 lok. 2, tel.: (22) 758 11 10, +48 604 194 054, skype: grafik9513, www.gpr24.pl, redakcja@gpr24.pl
Redaktor Naczelny: Mirosław Kalinowski, tel.: (22) 758 11 10 Z-ca Redaktora Naczelnego: Adam St. Trąbiński, tel.: (022) 759 47 85. Sekretarz Redakcji: Gabriela Milewska, tel.: (22) 758 11 10. Zespół redakcyjny: Mirosław Kalinowski, Adam St. Trąbiński, prof. Andrzej Targowski, Jerzy Antkowiak, Krzysztof Gosztyła, Maria Górską-Zabielska, Maciej Bugajak, Zbigniew Poręcki, Maciej Woźniakiewicz, Julitta Rybczyńska, Włodzimierz Szpak, Feridun Erol, Dominik Poręcki, Wiesław Pośpiech, Grażyna Siczek, Andrzej Sikorowski, Tomasz Długosz-Trąbiński, Tomasz Malczyk, Kuba Koprzywa, Stefan Szlachtycz, Gerard Połozynski, Marian Skwara, Tomasz Suwała, Barbara Gajo. Stała współpraca: Muzeum Duląg 121, MOK Pruszków. Nakład: 20 tys. szt. w miesiącu. Zasięg: Brwinów, Janki, Komorów, Kanie, Malichy, Michałowice, Reguły, Nowa Wieś, Nadarzyn, Otrębusy, Piastów, Pruszków, Podkowa Leśna, Raszyn, Tworki, Ożarów Mazowiecki, Warszawa Ursus.
Dział reklamy i ogłoszeń: tel.: (22) 758 11 10, mobil: +48 604 194 054, redakcja@gpr24.pl Wydawca: Agencja „PROFIL”, 05-806 Komorów, ul. Moniuszki 6 lok. 2, tel.: (22) 758 11 10. Grafika & skład: Studio graficzne Agencji Profil, Mirosław Kalinowski tel.: +48 604 194 054.

Materiałów nie zamawianych nie mamy obowiązku publikowania. Redakcja nie wpływa na treści artykułów zamieszczanych w gazecie. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i redagowania publikowanych tekstów. © Prawa autorskie zastrzeżone. Kopiowanie układów i elementów graficznych oraz ich wykorzystywanie w innych publikacjach jest prawnie zabronione. Przedruk materiałów tylko za zgodą redakcji.

www.gpr24.pl ➔ **Informacje** ogłoszenia i inne...

**AUTORYZOWANY
PUNKT SPRZEDAŻY**

Libet
Platinum

Sprzedaż
Projekt
Realizacja



Good Bruk
www.goodbruk.com.pl

KOSTKA BRUKOWA
PŁYTY TARASOWE
KAMIEŃ OZDOBNY

Kanie k/Pruszkowa
ul. Zdrojowa 36

tel. 22 770 01 00
605 344 017
kanie@goodbruk.pl



Już dzisiaj zacznij lepiej
zarządzać swoją firmą.

CALYPSO

**Księgowość
on-line**

calypso-net.com

W naszym fachu nie ma strachu!

SPÓŁKA O PROFILU INŻYNIERYJNO - BUDOWLANYM DZIAŁAJĄCA W SEKTORZE ENERGETYCZNYM POSZUKUJE NA STANOWISKO SPAWACZA, MONTERA, OPERATORA

SPAWACZ:

Prace związane z budową, przebudową sieci gazowej, prace eksploatacyjne związane z procesem spawania, sporządzanie dokumentacji z wykonywanych prac.

Poszukiwane kompetencje:

- wykształcenie minimum zasadnicze zawodowe,
- około 3-letnie doświadczenie w pracy o podobnym zakresie obowiązków, umiejętność wykonania połączeń spawanych w stali,
- uprawnienia spawalnicze – metoda 141 (spawanie doczołowe rur),
- świadectwo kwalifikacyjne w zakresie eksploatacji gr. 3 (E3)
- atutem będzie prawo jazdy kategorii B.

MONTER, OPERATOR:

Prace związane z budową, przebudową sieci gazowej, przebudową zewnętrznych sieci wodociągowych.

Poszukiwane kompetencje:

- uprawnienia zgrzewacza,
- uprawnienia operatora koparki jednoznaczyniowej,
- prawo jazdy kat. B+E.

Miejsce pracy: Warszawa Ursus

Uprzejmie informujemy, że skontaktujemy się tylko z wybranymi kandydatami.

Osoby zainteresowane prosimy o przesyłanie aplikacji na adres: kancelaria@tgplus.pl

Prosimy o zamieszczenie klauzuli: „Wyrażam zgodę na przetwarzanie moich danych osobowych zawartych w mojej ofercie pracy dla potrzeb niezbędnych dla realizacji procesu rekrutacji zgodnie z ustawą z dnia 29.08.1997r. o ochronie danych osobowych, Dz. U. nr 133 poz.883

Informacji również pod numerem telefonu: +48 506 706 920



„Nie odchodzi ten, kto pozostaje w sercach bliskich”

**Wyrazy współczucia i słowa wsparcia dla Bratowej JANINY ZAWAL i jej RODZINY
z powodu śmierci Męża, Ojca i Dziadka składają Ania, Ela, Mira z Rodzinami.**

LUK TRANS

TRANSPORT • SZKOLENIA • ZABEZPIECZENIA

☎ 536 112 999 ☎ 570 112 999

www.112999.pl

PARTNER MEDYCZNY

TourdePologne

